WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W ŁODZI

38 Rok XVI (827)
CENA 1.50 ZŁ.

23.9.73.

WRZESIEŃ
WRZESIEŃ
WRZESIEŃ
WRZESIEŃ

# ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

## EUROPA campingowa

**Namiot służy człowiekowi z dawien dawna jako łatwo przenośna ochrona przed wiatrem i słotą, zimnem i upałem. W kampaniach wojennych, na traperskich szlakach i w dalekich podróżach był namiastką dachu nad głową. Od kilkudziesięciu lat kojarzy się ze skautingiem, harcerstwem i z różnymi formami aktywnego wypoczynku ludzi młodych.**

**Namiot łatwo wkomponować w środowisko naturalne nie dotknięte jeszcze niszczycielskim wpływem cywilizacji, a potem likwidować go bez trwałych śladów. Biwakowanie pod namiotem zbliża do natury, jest szkołą obcowania z nią i radzenia sobie w prymitywnych okolicznościach.**

**Obecnie namiot przeżywa swój renesans, a raczej karierę na miarę dotąd nie spotykaną. Sprowadza się ona do jednego słowa, wprawdzie pochodzenia obcojęzycznego, ale jakże bogatego w skojarzenia: c a m p i n g.**

Żyjemy dziś w czasach masowej turystyki. Powszechnemu pędowi do podróżowania, do zwiedzania nieznanych okolic i krajów wychodzi naprzeciw campingowa forma bytowania, nocowania pod namiotem i przyrządzania sobie posiłków w warunkach polowych. Camping przestał być domeną ludzi młodych, szkołą hartu i samodzielności.

Dalszy ciąg na str. 7

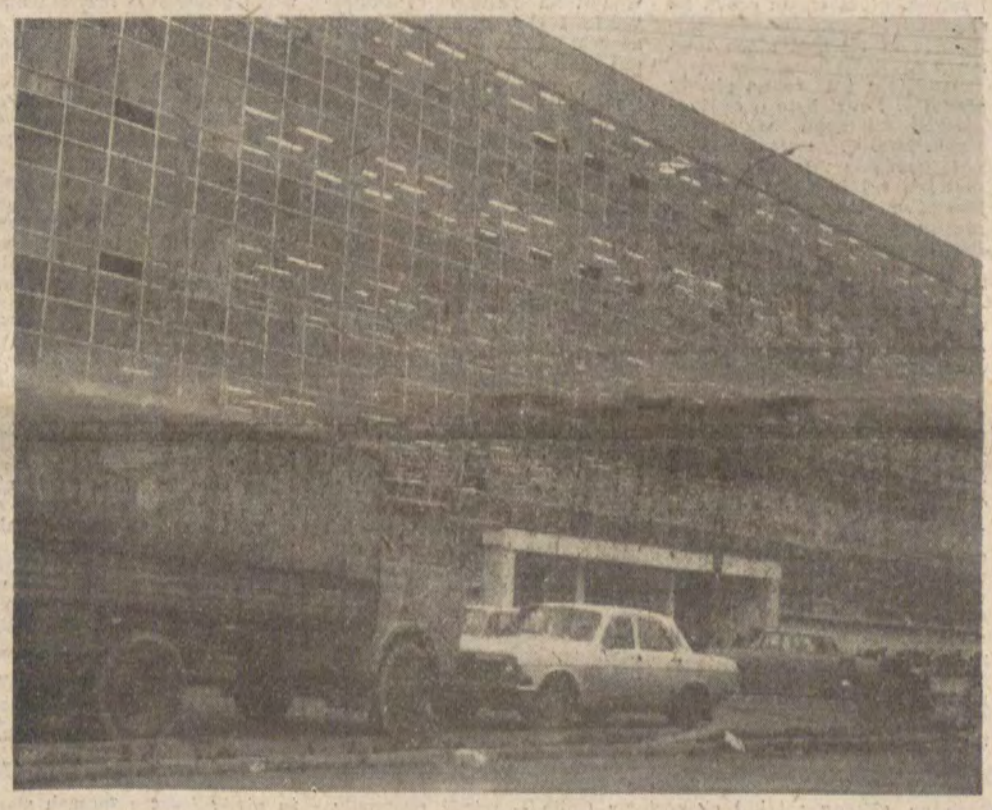

*JAROSŁAW — „JARLAN"*

## JARLAN-73

### ANDRZEJ GRUN

**Wiódł tędy szlak handlowy, tyleż stary co ważny, wiódł, łącząc wschód z zachodem Europy, Ruś ze Śląskiem. Wiódł przez Przemyśl, Jarosław, Kraków i dalej, dalej... Powiadają, że historia lubi się powtarzać.**

**W czterdziestym czwartym, gdy do Odry i Berlina pozostawał spory jeszcze szmat drogi, przez Medykę-Jarosław, w pośpiechu zbudowaną trasą szły na zachód pociągi z bronią, amunicją, żywnością i pierwszymi osiedleńcami, co choć płakali wołyńskich czarnoziemów, to ciekawi przecież byli nowego. Toteż nie dziwne było staremu grodowi, nad rzeką San z gór spływającą, leżącemu, że przechodzili przezeń różni ludzie w różnych czasach, którzy gdzieś tam za swoimi sprawami spiesząc pozostawiali sam gród za sobą, nie oglądając się nań więcej. I nikt też z owych przybyszów-wędrowców nie dbał za wiele o to, jakim życiem gród ów żył i żyć będzie w przyszłości.**

Dalszy ciąg na str. 6

## OCALANIE WARTOŚCI

### Z TADEUSZEM CHRÓŚCIELEWSKIM

rozmawia

JERZY WILMAŃSKI

*„ODGŁOSY": Uprawia Pan różne gatunki literackie — poezję, prozę, przekład. Który z tych rodzajów jest Panu najbliższy, który Pan postawiłby na pierwszym miejscu w swojej twórczości?*

**Tadeusz Chróścielewski:** W tradycji naszej literatury jest traktowanie poezji jako wypowiedzi najważniejszej — także ja na pierwszym miejscu w moim pisarstwie stawiam poezję. Jest ona może nieco tradycyjna, stosuje przecież trzynastozgłoskowiec, sonet itp., ale za to środki wyrazu, metaforyka są nowoczesne... Po prostu w starej składni mieszczę nowoczesne środki wyrazu. Ale wiem, że nigdy nie byłem zdecydowanym nowatorem, który wiersz traktuje wyłącznie jak przygodę jedynie artystyczną. Nie czuję się więc ani nowatorem ani awangardzista. Dla mnie poezja jest po prostu propagowaniem pewnych wartości nieodzownych dla Polaka.

Wpłynęło na ten stosunek moje wychowanie, atmosfera domu rodzinnego, gdzie literaturę traktowało się jako rodzaj służby narodowej. Tak więc jestem wierny sobie, zamykając w wierszu określone wzruszenia i przeżycia — z drugiej zaś strony myślę też o czytelniku. O tym, że nowoczesność, tempo życia zagrażają pewnym wartościom humanistycznym i te wartości pragnę ożywiać. Bo przecież polski inteligent winien być wrażliwy na sztukę, architekturę, piękno pejzażu, historię, przeszłość... Teraźniejszość jest drobną chwilą w dziejach, wynika niejako z przeszłości, trzeba więc utrwalać szacunek dla spraw i ludzi, którzy tą naszą teraźniejszość tworzyli.

Dalszy ciąg na str. 6

*RYSZARD STRYJEC — rysunek tuszem*

# OD NAS TO ZALEŻY

Osiągnęliśmy w kraju dobre tempo dalszego naszego rozwoju. W wielu dziedzinach gospodarki narodowej wysoko przekracza się planowane zadania. Po raz pierwszy od długiego czasu nie przeszkadzał nam w pracy „szczyt urlopowy". To wszystko jest wielce pocieszające, ale jednocześnie rodzi pytanie: **co zrobić, aby takie tempo pracy utrzymać nadal?**

Na pytanie to odpowie między innymi **KRAJOWA KONFERENCJA PARTYJNA**, która zbierze się już w niedługim czasie. Jej celem będzie zarówno ocena dotychczasowej realizacji uchwały VI Zjazdu PZPR, jak i dokonanie takiej korekty w naszych zamierzeniach, aby można było znacznie przekroczyć zadania bieżącej pięciolatki.

Mamy do tego dobre, sprzyjające warunki: wspomnianą już wysoką dynamikę przyrostu produkcji przemysłowej, niezłą sytuację w rolnictwie, mamy wiele ciekawych inicjatyw ludzi, pracujących w różnych dziedzinach życia gospodarczego i społecznego. I to jest najważniejsze, bo — przepraszam za truizm — o wszystkim przecież decydują ludzie i ich umiejętności. Sposób, w jaki wykorzystuje się te umiejętności.

W czasie obrad IX Plenum KC PZPR Edward Gierek powiedział:

**„Pełne zatrudnienie powinno być równocześnie zatrudnieniem racjonalnym. Oznacza to, że każdy powinien pracować na właściwym miejscu, zgodnie ze zdolnościami, kwalifikacjami i umiejętnościami. Oznacza to również, że w każdym miejscu pracy powinno być tylko tylu zatrudnionych, ilu i jakich potrzeba, aby w warunkach dobrze zorganizowanej i wydajnej pracy sprawnie wykonać wszystkie zadania".**

Taki jest cel porządkowania polityki kadrowej, co ma doprowadzić do najlepszego wykorzystywania naszego największego bogactwa — ludzkich umiejętności, inicjatyw, zdolności i talentów. Daleko nam jeszcze do tego celu, choć tu i ówdzie obserwuje się już więcej niż pozytywne zmiany. To powinno cieszyć, ale nie może uspokajać. Uchwała IX Plenum KC PZPR stanowi program dalekosiężny, ale i realizowana musi być od zaraz, od dziś i na każdym miejscu. A wiem, że to sprawa niełatwa.

W skali kraju widać w polityce zatrudniania pewne symptomy poprawy. W sierpniu na przykład **urzędy zatrudnienia skierowały do pracy o około 15 proc. mniej osób** niż w tym samym czasie roku ubiegłego. Ale i zakłady pracy skierowały do urzędów zatrudnień **o 8 tys. mniej zgłoszeń** niż uczyniły to w ubiegłym roku. Urzędy zatrudnienia zarejestrowały aż **o 43 proc. mniej osób poszukujących pracy.** Z tego można wyciągnąć wniosek, że wiele zakładów pracy odeszło od starego zwyczaju zwiększania produkcji zwiększaniem zatrudnienia. Już nie postępują w myśl zasady: damy więcej, jak będziemy więcej mieli ludzi do pracy. I mimo, że latem było mniej ludzi, dawały tyle samo produkcji, a czasem nawet więcej. Objaw to pozytywny, jeśli rzeczywiście kryje się za tym poprawa organizacji pracy, lepsze wykorzystanie czasu pracy ludzi i maszyn.

Znów muszę powtórzyć rzecz oczywistą, odwołać się do truizmu. Ale przecież wszyscy aż nadto dobrze wiemy, że utrzymanie szybkiego tempa przyrostu produkcji przemysłowej wcale nie musi odbywać się zwiększeniem wysiłku pracujących. I nie powinno. Decydować powinny nie mięśnie a mózg ludzki. Porządkowanie spraw zatrudnienia powinno prowadzić do stworzenia większych możliwości dla wykorzystania umiejętności, pomysłowości i inicjatyw. Powinno wynikać i wpływać na organizację pracy. Można to nazwać sprzężeniem zwrotnym. Im lepsza organizacja pracy, tym więcej możliwości dla wykazywania inicjatyw, dla pełniejszego wykorzystania kwalifikacji pracowników. Im w większym stopniu wykorzystuje się kwalifikacje i umiejętności ludzi, stwarza się im możliwość wykazywania i rozwijania inicjatyw, tym poprawia się i lepiej funkcjonuje organizacja pracy. Wiemy o tym wszyscy od dawna, ale też i na tej wiedzy niejednokrotnie kończyło się.

Za kilka tygodni zbierze się **KRAJOWA KONFERENCJA PARTYJNA**. Ustali ona program dalszego działania, aby można było lepiej, z większym pożytkiem dla nas wszystkich wykonać zadania bieżącej pięciolatki. Aby żyło się nam w kraju lepiej i aby rosła pozycja Polski w świecie. Pisząc o zbliżającej się KRAJOWEJ KONFERENCJI PARTYJNEJ, nie przypadkowo zwróciłem uwagę na sprawy zatrudnienia, na cały kompleks zagadnień, jaki kryje się pod tym pojęciem. A nie przypadkowo dlatego, że właśnie od jego sprawnego, zgodnego ze wskazaniami IX Plenum KC PZPR, rozwiązywania zależeć będzie, czy zadania te wypełnimy właśnie tak, jak wszyscy tego pragniemy.

Można bez przesady powiedzieć, że mieliśmy w przeszłości wiele dobrych i bardzo dobrych uchwał. Ale też i dość często na tym tylko kończyło się. Obecnie w naszym życiu politycznym i społecznym mamy wiele cennych, ciekawych i pożytecznych inicjatyw, które obecnym i przyszłym uchwałom stwarzają dogodne warunki realizacji. I to jest chyba najważniejsze. Z drugiej jednak strony stwierdzenie tego faktu nie może nas ani zadowalać, ani uspokajać. O warunki dla realizacji uchwał i postanowień partii musimy nadal stale troszczyć się. I to jest jedno z naszych najpilniejszych zadań.

Powiedzieliśmy sobie, **że** celem naszego działania jest człowiek, jego dobro. Pamiętajmy też, że **sami decydujemy o tym, czy i kiedy cele te osiągniemy, w jakim tempie będzie poprawiało się nasze życie. Od nas samych to zależy, od właściwego wykorzystania naszych umiejętności, zdolności, naszej pomysłowości.**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# JAK SPRZEDAĆ MIASTO?

**GDAŃSK nie potrzebuje zbytniej reklamy. Gdańsk jest miastem szeroko znanym niemal na całym świecie. To przecież od Gdańska formalnie zaczęła się druga wojna światowa, choć każde dziecko kończące szkołę podstawową powinno wiedzieć, że powodów było więcej i wynikały one z różnorodnych przesłanek. Gdańsk znany jest również i dlatego, a także przede wszystkim — że jest portem, do którego zawijają statki ze wszystkich mórz. Gdańsk więc nie potrzebuje reklamy. A jednak!**

**Przez 16 sierpniowych dni Gdańsk reklamował się usilnie wśród licznie odwiedzających Wybrzeże Gdańskie turystów krajowych i zagranicznych. Odbywały się wtedy Dni Gdańska, w ramach których zorganizowano Jarmark Dominikański. Myślę, że warto wspomnieć o tej imprezie, choć sierpień dawno minął. A warto wspomnieć przede wszystkim dlatego, że w ramach owego Jarmarku Dominikańskiego odbył się I Ogólnopolski Festiwal Mody.**

**Było to dawno temu, kiedy wysunięto u nas propozycję zorganizowania w Łodzi Ogólnopolskiego Festiwalu Przeglądu Filmów Krótkometrażowych i Telewizyjnych. Dziś podobny festiwal — jak zapewne wszystkim wiadomo — odbywa się w Krakowie. Trudno. Stało się. W Łodzi — mówiono wtedy — nie ma kina festiwalowego, nie ma hoteli, a i z miejscami w naszych restauracjach nie jest najlepiej. Jak więc podejmiemy licznych gości, którzy niewątpliwie zjadą na taki ogólnopolski festiwal? Na szczęście czasy się trochę zmieniły i mamy już dwie poważne ogólnokrajowe imprezy artystyczne. Myślę oczywiście o okresowych przeglądach tkaniny artystycznej, malarstwa i grafiki. Mamy również organizowane co dwa lata — w ramach Łódzkiej Wiosny Artystycznej — międzynarodowe Spotkania Baletowe. Ale to trochę inna sprawa.**

**Przez ostatnie lata przybyło nam miejsc w restauracjach, buduje się nowe, a także poprawi się sytuacja w hotelach. Będziemy już niedługo mieli gdzie i jak podejmować gości. Na deskach projektantów powstają zarysy kina festiwalowego. Nie wiem tylko, czy wtedy starczy i dla Łodzi jakiegoś festiwalu. Nie jestem bowiem zwolennikiem mnożenia ich w nieskończoność, a ogólnopolski przegląd filmów o treści politycznej, społecznej i filmów dydaktycznych jest imprezą, która ciągle czeka na skonkretyzowanie swego kształtu. Ale to również nieco inna sprawa.**

**Pamiętam też czasy, kiedy głośno w Łodzi było o ogólnopolskich targach włókienniczych. Miałem nawet przyjemność poznania założeń programowych tej imprezy i poznałem również projekt zbudowania terenów targowych w okolicy Wodnego Rynku. Myśl powołania w Łodzi takiej imprezy opierała się na fakcie, że właśnie tutaj znajdowały się wówczas wszystkie centrale zajmujące się międzynarodowym handlem artykułami włókienniczymi. Jak wiem, do tej pory nic nie zmieniło się pod tym względem, chyba tylko to, że centrale te połączyły się w jeden wielki koncern — „Textilimpex".**

**Dorobiliśmy się też Jarmarku Łódzkiego, nawiązującego do tradycji i organizowanego przez „Dziennik Łódzki". Impreza ta ciągle jednak nie może nabrać spodziewanego rozmachu i choć dzieje się w środku miasta, to przecież niewiele waży na jego życiu. Uważam, że niemowlakowi potrzeba nie tylko dalszej życzliwości, ale też dobrej pożywki, aby w przyszłych latach rósł i rozwijał się pomyślnie. Jest to bowiem dziecię wielce obiecujące i byłoby dobrze, aby go takim widzieli nie tylko rodzice.**

**A teraz muszę przyznać się do brzydkiej rzeczy. Zazdroszczę gdańszczanom tego, że wpadli na pomysł zorganizowania I Ogólnopolskiego Festiwalu Mody. Już dziś myślą oni o zorganizowaniu w przyszłym roku następnej takiej imprezy, którą opatrzą rzymską dwójką, aby w dalszych latach organizować kolejne festiwale. A przecież impreza ta powinna odbywać się w Łodzi. I nie tylko dlatego, że tu jest Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego oraz Zjednoczenie Przemysłu Pończoszniczego i Dziewiarskiego. Ale przede wszystkim dlatego, że tu jest „Textilimpex" i że nie należy zrezygnować z myśli powołania w Łodzi targów włókienniczych, dla których taki festiwal byłby znakomitym wstępem. Trudno. Stało się. Stare przysłowie głosi, że kto pierwszy ten lepszy.**

**I nie pociesza mnie fakt, że producenci odzieży potraktowali ten festiwal lekko i — jak pisał „Głos Wybrzeża" — zrozumieli go jako „okazję do wypchnięcia bubli". Nie pociesza mnie również i to, że wśród krytykowanych wystawców znalazły się „Iwona", „Kalina", „Telimena" z Łodzi oraz „Pilica" z Tomaszowa Mazowieckiego. Smuci to raczej, że producenci o tak dobrych opiniach znajdują okazję, aby psuć ją u krajowego odbiorcy. Dla sprawiedliwości muszę dodać, że bardzo chwalono łódzkiego „Polboya". Ale to już zupełnie inna sprawa.**

**Jarmark Dominikański oceniono pozytywnie. Padło też wiele propozycji rozszerzenia i wzbogacenia tej imprezy. A wśród nich jedna, która mnie zastanowiła. Dotyczy ona bowiem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Włókienników Polskich, któremu proponuje się organizację w ramach Dni Gdańska seminarium poświęcone problemom przemysłu lekkiego. Chodzi — o ile dobrze pamiętam — o problemy gospodarki materiałowej. Oczywiście nie wszystko, co dotyczy przemysłu lekkiego musi dziać się zaraz w Łodzi. Mamy bowiem inne centra tego przemysłu w kraju — na przykład Białystok, Dolny Śląsk czy Bielsko-Biała. Nie mam też nic osobiście przeciw Gdańskowi, ale dziwi mnie po prostu fakt, że wiele „włókienniczych" inicjatyw omija Łódź, którą zwykliśmy nazywać stolicą polskiego włókiennictwa. Obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, to pozostanie nam li tylko nazwa.**

**Wydawało się, że Gdańsk nie potrzebuje reklamy. A przecież jest inaczej. Przypomnę tylko, że Sopocki Festiwal Piosenki też narodził się... w Gdańsku i odbywał się w hali Stoczni Gdańskiej. Co nowego wymyślą gdańszczanie w roku przyszłym? W tym bowiem pokazali, że potrafią umiejętnie „sprzedawać" turystom swoje miasto". Z okazji Dni Gdańska powstała między innymi Kapela Dominikańska, dla której skomponowano kilka wcale nie najgorszych piosenek. I nie były to jedyne pomysły.**

**Z tych rozważań nie powinno wcale wynikać, że nad Morzem Bałtyckim łatwiej rodzą się dobre pomysły i inicjatywy. Uważam, że i nam tego nie brakuje. Po prostu jesteśmy mniej uparci w ich urzeczywistnianiu, a czasem rezygnujemy przy byle pierwszej trudności. A przecież jesteśmy w okresie przebudowy i unowocześnienia miasta. I właśnie teraz potrzeba i dobrych pomysłów, inicjatywy i uporu w ich realizacji. Potrzeba też więcej niż gdzie indziej fantazji i rozmachu. Uważam, że stać nas na to. I uważam jeszcze, że Łodzi też potrzeba więcej niż trochę reklamy. Niech ludzie w całym kraju — i nie tylko — wiedzą, że jest takie miasto, że żyje, pracuje i rozwija się coraz bardziej i coraz pomyślniej. Zacznijmy więc „sprzedawać" nasze miasto! A można to będzie zrobić tylko wtedy, jeśli potrafimy naszymi pomysłami i inicjatywami zainteresować innych.**

MARCIN RODAK

# *ZE ŚWIATA*

## REBELIA, KTÓRA PORUSZYŁA CAŁY ŚWIAT

**Krwawe wydarzenia w Chile:** zamach stanu, zabójstwo prez. Salvadora Allende, masowe aresztowania i deportacje oraz przejęcie władzy państwowej przez juntę wojskową — wykazują raz jeszcze, że siły prawicy nie przebierają w środkach i za wszelką cenę chcą zahamować procesy społeczne. Przez cały okres sprawowania władzy przez chilijski rząd ludowy reakcja naruszała prawo, utrudniała realizację programu reform społecznych, komplikowała sytuację gospodarczą kraju, a gdy mimo tych kłód, rzucanych pod nogi legalnemu rządowi, stawiał on czoła przeszkodom — sięgnęła po metodę rebelii, posługując się wojskiem.

Dlaczego chilijskie siły wsteczne i ci, którzy za nimi się kryją, tak konsekwentnie zwalczali Allende? Odpowiedź na to pytanie przynosi chociażby skrótowy przegląd dokonań ludowego rządu, który sprawował władzę zaledwie przez 34 miesiące (1044 dni). I to w warunkach bardzo trudnych, kiedy większość miejsc w parlamencie kontrolowana była przez opozycję.

Otóż Allende znacjonalizował całkowicie kopalnie miedzi, rud żelaza, przemysł stalowy i w znacznym stopniu górnictwo węglowe, w ciągu dwóch lat wywłaszczył 3.500 majątków ziemskich, przeprowadzając do końca reformę rolną, przejął całkowitą kontrolę nad bankami, nawiązał stosunki dyplomatyczne z wszystkimi krajami socjalistycznymi, a w tej liczbie z Kubą, czym przełamał jej izolację w Ameryce Łacińskiej. W ten sposób w krótkim okresie zrealizowane zostały wszystkie podstawowe założenia programu reform społecznych. Niestety — działanie reakcji: wywóz kapitałów za granice, sabotowanie decyzji rządu, organizowanie strajków i aktów terroru oraz spadek cen światowych na główny artykuł eksportowy Chile — miedź postawiły kraj w trudnej sytuacji gospodarczej. To właśnie wykorzystała prawica do podjęcia próby ostatecznej rozgrywki.

Pod koniec lipca br. organizuje ona strajk właścicieli środków transportu, który paraliżuje przemysł. Ale rządowi spieszą z pomocą ochotnicy, którzy na zarekwirowanych ciężarówkach dowożą surowiec do fabryk. Zakłady przemysłowe nie przerywają produkcji, chociaż z konieczności jest ona ograniczona. Niepowodzenie w unieruchomieniu całej gospodarki nakłania reakcję do podjęcia przewrotu. Tak dochodzi do tragicznych wydarzeń 11 września.

Dziś wiemy już, że oficjalnie najwyższą władzę w państwie przejęła czteroosobowa junta z gen. Augusto Ugarte na czele. Powołała ona 15-osobowy rząd, w którym niemal wszystkie teki oddano wojskowym (siły lądowe obsadziły cztery stanowiska, marynarka wojenna — trzy, inne rodzaje broni — po dwie).

Kim jest główny zamachowiec?

Generałem, liczącym 58 lat, z których ok. 40 spędził w służbie wojskowej. Agencje zachodnie podkreślają, że dotychczas nie uczestniczył on w żadnej działalności politycznej, co tym bardziej przekonuje, iż za nim stoją inni dysponenci. Kiedy przed rokiem jego poprzednik powołany został w skład gabinetu chilijskiego — Augusto Pinocheta Ugarte został najpierw pełniącym obowiązki dowódcy, a potem głównodowodzącym armii.

Czego po juncie oczekuje skrajna prawica — świadczy wypowiedź jednego z przywódców faszystowskiej organizacji „Ojczyzna i wolność" — Patrycio Diaza. Powiedział on m. in.: „Wojskowi powinni przejąć władzę na 6—10 lat. Muszą oni postępować ostro... Rząd wojskowy musi zamknąć kongres... My teraz pokażemy".

Deklaracja junty wojskowej oraz powyższa wypowiedź nie pozostawiają cienia wątpliwości co do charakteru przewrotu. Jest także znamienne, że pierwszym zewnętrznym krokiem junty było zerwanie stosunków dyplomatycznych z Kubą...

Reakcyjna rebelia w Chile odbiła się szerokim echem w świecie. Zewsząd napływają protesty. Zabrali na ten temat głos także mężowie stanu. Jeden z korespondentów zagranicznych pisze, że nigdy jeszcze zamach stanu w Ameryce Łacińskiej nie odbił się tak negatywnym echem na różnych kontynentach.

Biuro Polityczne KP PZPR w swym oświadczeniu stwierdza m. in.:

**„Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, wyrażając opinię całego społeczeństwa polskiego, potępia zdecydowanie krwawy zamach reakcji chilijskiej, solidaryzuje się z Komunistyczną Partią Chile, z Partią Socjalistyczną, ze wszystkimi siłami postępu w Chile w ich mężnej walce o zwycięstwo sprawy wolności i sprawiedliwości społecznej".**

Poświęciliśmy dużo miejsca w dzisiejszym przeglądzie wydarzeniom w Chile, gdyż poruszają one do głębi tych wszystkich, którym droga jest sprawa sprawiedliwości, wolności i pokoju.

A teraz — już w wielkim skrócie — o innych międzynarodowych aktualnościach.

Pełnym sukcesem zakończyła się **gdańska konferencja siedmiu krajów nadbałtyckich.** Podpisano konwencję o rybołówstwie i ochronie żywych zasobów Bałtyku, która, jak wykazywaliśmy to w ub. tygodniu, ma ważkie znaczenie gospodarcze i polityczne.

W bieżącym tygodniu rozpoczęły się: **28 sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ oraz II tura Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy.** Za kilka dni wznowione zostaną **radziecko-amerykańskie rokowania SALT.** Każde takie forum może dziś wnieść istotny wkład w proces odprężenia i przybliżyć trwały pokój.

W Vientiane podpisany został przez obie strony laotańskie **protokół do porozumienia w sprawie przywrócenia pokoju.** Jeden z najistotniejszych punktów porozumienia — to powołanie do życia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

**Prez. Nixon przedstawił orędzie o stanie państwa,** w którym ostro krytykuje Kongres, ale jednocześnie proponuje pojednanie. Domaga się on przyspieszenia co najmniej połowy projektów ustaw, które w br. złożył w Kongresie.

W. SŁAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

## ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

**„Adam Próchnik był od młodzieńczych lat szczerym socjalistą, pozostając w opozycji do tych wszystkich, którzy w proletariacie widzieli tylko narzędzie walki o niepodległość państwową. Socjalizm i niepodległość były dlań nierozłączne ... Czuł się zawsze jak najściślej związany z tradycją polskich ruchów narodowo-wyzwoleńczych a motywacja patriotyczna była szczególnie ważną przesłanką jego stanowiska politycznego w każdym okresie jego życia. Zainteresowania i nieukrywana sympatia dla lewicowych nurtów w powstaniach polskich XVIII i XIX wieków wiązały się też z przekonaniem, że nadawały one najwłaściwszą treść patriotycznym dążeniom wyzwoleńczym."**

Tak wspominał swego wypróbowanego przyjaciela i towarzysza prof. HENRYK JABŁOŃSKI, dzieląc się garścią refleksji o niesłusznie zapomnianym wybitnym publicyście, historyku i niezłomnym działaczu przedwojennej lewicy.

chwili zapamiętali szczególnie jeden epizod. „Promienista" Adam Próchnik przemawiał w imieniu miejscowych gimnazjalistów, składając hołd 75-letniemu weteranowi ruchu socjalistycznego. Mówił o życiu i walce sędziwego jubilata. Kiedy ostatnie słowa przemówienia kierował bezpośrednio do Limanowskiego, wzruszenie, które opanowało młodzieńca, udzieliło się zebranym. Wszystkie oczy zwróciły się na jubilata, którego srebrzysto-siwa głowa niczym biały orzeł odcinała się na tle czerwieni flag wyrastających z dna sceny. Wśród przejmującej ciszy dwoje drżących ramion weterana zamknęło w uścisku młodego promieniste.

Scena ta pozostawiła wrażenie symbolu. Stary rzecznik jedności ruchu socjalistycznego przekazywał młodemu pokoleniu pałeczkę tej sztafety, której celem była wolność nie tylko narodowa, ale i społeczna kraju. Wprawdzie potem wiele dzieliło Próchnika od Limanowskiego, hołdownika szlachetnego utopizmu, jednakże zawsze pozostał wierny trosce zarówno o nowe drogi własnej partii, jak i o scalenie sił całej klasy robotniczej. Właśnie jego mieszkanie na Żoliborzu w okresie międzywojennym, było terenem stałych spotkań lewicowych pracowników nauki. W miejscu tym schodziło się też grono działaczy, radząc nad możliwością stworzenia bloku demokratycznego.

# ADAM PRÓCHNIK

Można powiedzieć, że ADAM FELIKS PRÓCHNIK znalazł drogę do socjalizmu już u progu życia, gdyż od kolebki wzrastał w atmosferze nasyconej żarliwą wiarą w ideały socjalistyczne. Dom jego matki zarówno we Lwowie, w którym przyszedł na świat 21 sierpnia 1892 roku, czy na emigracji w Szwajcarii, zawsze skupiał uwagę tamtejszych grup lewicowych, stając się ośrodkiem ożywionych dyskusji liderów ruchu socjalistycznego. Felicja Nossig — Próchnikowa była też jedną z pierwszych kobiet polskich, posiadających dyplom doktora filozofii.

Pierwsze kroki w organizacji lewicowej stawiał w młodzieżowym związku szkół średnich **„Promień"**. Na rok przed maturą, w 1910, reprezentował tę organizację podczas podniosłego jubileuszu Bolesława Limanowskiego. Uroczystość odbywała się w jednym z teatrów lwowskich. Świadkowie tamtej

Adam Próchnik nie zgodził się nigdy z aktualną polityką centralnych władz partyjnych PPS w okresie międzywojennym, toteż jako jeden z pierwszych odpowiedział pozytywnie na apel KPP rzucony w marcu 1933 roku, postulujący utworzenie jednolitego frontu walki proletariatu. W tym samym roku Adam Próchnik proponował w artykule pt. **„Współżycie ideowe czy walka polityczna"** sformowanie wspólnego, jednolitego bloku klasy pracującej do walki o ustrój sprawiedliwości powszechnej. Próchnik nie był osamotniony w tych wysiłkach, ponieważ jednolity front a zatem ścisła współpraca z komunistami propagowali: razem z nim **B. Drobner, N. Barlicki**, czy **St. Dubois**.

Na XXIII Kongresie PPS, odbywającym się w Warszawie w dniach 2—4 lutego 1934 roku, zaznaczyło się ujednolicenie poglądów lewicy partyjnej na sytuację w kraju i samego ruchu robotniczego, co doprowadziło do wewnętrznego skonsolidowania grupy. Lewica ta, współkierowana przez Adama Próchnika, domagała się od reformistycznych i antykomunistycznie zorientowanych władz PPS bliskiego sojuszu z KPP. Jednakże była zbyt słaba, aby odnieść zwycięstwo.

Autorstwa Próchnika była również rezolucja zgłoszona u schyłku 1934 roku na konferencji warszawskiego oddziału PPS, w sprawie natychmiastowego porozumienia i zawarcia układu o wspólnym froncie aktywności politycznej z komunistami. Aczkolwiek wniosek obaliła niewielka liczba głosujących, reperkusje tego kroku były znaczne. Próchnik stanął wtenczas na czele grupy tramwajarzy warszawskich, akceptujących jego postulaty. Sekretariat Krajowy KPP ocenił ten fakt jako **„Największe zwycięstwo obecnie w Warszawie, to ostateczne zawarcie jednolitego frontu z grupą próchnikowską."**

W następnym roku, wraz z działaczem lewicowym **J. Krzesławskim — Cynarskim**, powołał do istnienia redakcję **„Kroniki Ruchu Rewolucyjnego w Polsce"**, organ Stowarzyszenia b. Więźniów Politycznych. To pismo przyjmując bardziej postępowe oblicze od zbliżonej profilem ideowym **„Niepodległości"**, dotrwało do wybuchu II wojny światowej.

Próchnik zapisał się w historii polskiego dziennikarstwa jako jeden z najpłodniejszych publicystów socjalistycznych. Jeszcze na ławie szkolnej zaczął ogłaszać w **„Promieniu"** pierwsze prace które polegały przede wszystkim na omówieniach pozycji edytorskich, chociaż nie brakło pierwszych prób stawianych na terenie samej publicystyki. Natomiast w okresie międzywojennym ciężar jego zainteresowań przesunął się w stronę problemów polityki wewnętrznej i parlamentaryzmu oraz działalności i kształtowania właściwego oblicza socjalizmu i związanym z tą kwestią zapotrzebowaniem na utworzenie jednolitej międzynarodówki robotniczej. Nie zapominał też o zagadnieniu demokratyzacji samorządu i ruchu zawodowego.

Przez całe życie prowadził kampanię na rzecz umasowienia oświaty robotniczej. Wskazywał, iż brak pomocy ze strony rządu i szerszych kręgów nauczycielskich powinien stać się impulsem do zespolenia własnych sił proletariackich w akcji samokształceniowej.

Przez przeszło 10 lat splótł swoje losy z **Piotrkowem Trybunalskim**, w którym objął w roku 1919 dyrekcję Archiwum Państwowego a w następnym piastował mandat radnego. Na trwałe wpisał swe imię do złotej księgi dziejów tego grodu uruchomieniem przed 50 laty Publicznej Biblioteki Miejskiej a w 2 lata później, po zwycięstwie w wyborach samorządowych, stanowiskiem przewodniczącego socjalistycznej Rady Miejskiej. Pełniąc te funkcje nie ustawał w przygotowywaniu robotników do świadomego współkierowania gospodarką miejską, organizując dla nich kursy samorządowe. W tym też celu założył Klub Robotniczy i wygłosił w nim w ciągu jednego tylko 1921 roku, aż 74 prelekcje na różne tematy. Na przełomie lat 1926/27 kierował szkołą nauk politycznych Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych (TUR) i Organizacji Młodzieżowej TUR (OMTUR).

Jak wspominał jego słuchacz, **W. Żelazko:**

**„Próchnik był w każdym calu nauczycielem. Uczył w ... szkole agitatorów. Nigdy nie poddawał się nastrojowi. Odwrotnie, rozładowywał go logiką rozumowania, siłą argumentacji."**

Następnym polem żywej aktywności i licznych zainteresowań Adama Próchnika była działalność naukowa. Mimo rozlicznych zajęć zawodowych, politycznych i społeczno-oświatowych, obserwuje rozwój tych nauk. Jeszcze w swym okresie piotrkowskim publikował liczne broszury historyczne, nie stroniąc przy tym od pisania recenzji i artykułów popularyzujących rozwój wspomnianej dyscypliny. Z tych prac na szczególną uwagę zasługuje jego dysertacja doktorska pt. „Demokracja Kościuszkowska", która charakteryzuje takie nowatorskie ujęcia jak wykazanie rewolucyjnego kierunku powstania i klasowości ruchów chłopskich.

W Łodzi wyszła w roku 1932 spod prasy drukarskiej cenna monografia pt. „Bunt łódzki w 1892" a w następnym ukazało się „Pierwsze 15-lecie Polski Niepodległej."

Śmierć, która przyszła 22 maja 1942 przerwała prace nad syntezą myśli historycznej Próchnika, dotyczącą insurekcji kościuszkowskiej, zarysowaną jedynie w rozprawie doktorskiej, zamykając bogatą drogę życia 50-letniego działacza i uczonego, który przetrwał w pamięci pokoleń jako symbol prężności ideologicznej polskiego nurtu lewicowego.

### ZAMEK W BOLESŁAWCU

Na południowo-zachodnim krańcu województwa łódzkiego, nad Prosną, która jest granicą z województwem poznańskim, leży stara miejscowość Bolesławiec. Dziś jest to niewielka osada ożywiająca się w sezonie letnim, kiedy liczne autokary zatrzymują się w rynku, a turyści gęsiego przechodzą mostek i nikną w wysokich trawach nadrzecznych łąk. Nie bez przyczyny większość wycieczek udających się na Śląsk i przejeżdżających przez Wieruszów zbacza z drogi 12 km na południowy-zachód. Na sztucznym 10-metrowym wzgórzu, otoczony starorzeczami Prosny i podmokłymi łąkami ulokował się tu zamek, jeden z najciekawszych zabytków architektury obronnej w Polsce.

Bolesławiec leży na terenach dawnej Ziemi Rudzkiej. Był on miastem królewskim, a XIV-wieczne przekazy potwierdzają liczne przywileje, którymi został obdarzony. Krzyżowały się tu ważne szlaki handlowe: z Olesna przez Byczynę, Wieruszów, Grabów do Kalisza oraz z Lublina przez Radomsko, Brzeźnicę, Rudę lub Wieluń na Śląsk. Zygmunt August w zamian za trudy poniesione przy naprawach mostu na Prośnie, pozwolił mieszczanom „od każdego wozu towarem naładowanego po dwa małe obole pobierać". W XVI w. było tu 16 szewców, 10 piekarzy, 5 rzeźników i... 8 palących gorzałkę.

Zbudowanie w Bolesławcu grodu obronnego początkowo drewnianego (poświadczone źródłowo na lata 1268—1277) nie było dziełem przypadku. Bolesław Pobożny umacniał w ten sposób południowo-zachodnią granicę księstwa kalisko-gnieźnieńskiego przed najazdami branderburczyków. Oprócz Bolesławca powstały wtedy grody w Dupinie i Międzyrzeczu.

W kilkadziesiąt lat później, w obrębie drewnianego grodu bolesławieckiego zbudowano murowaną wieżę na planie ośmioboku. Stanowiła miejsce tzw. ostatniej obrony. Wolnostojąca, połączona z umocnieniami obronnymi drewianym pomostem, który łatwo było spalić, była ostatnim schronieniem dla obrońców grodu. W następnych latach, na miejscu drewnianych umocnień, dostosowanych do kształtu wzgórza, zbudowano mury obronne z cegły. Stał się wówczas zamek trudny do zdobycia.

W 1396 r. Władysław Jagiełło odbierając nadane Władysławowi Opolczykowi — ówczesnemu władcy Bolesławca — dzierżawy, kazał oblegać zamek.

„Ale sztuką i od natury dla bagnistego położenia swego mocno obwarowany trudny był do dostania. Oblężenie więc siedem lat trwało, w ósmym dopiero dla głodu i z rozkazu księżnej Agaty, wdowy po ks. Opolczyku, zamek został wydany".

Niektórzy badacze twierdzą, że właśnie w trakcie tego oblężenia wojska Jagiełły po raz pierwszy w Polsce użyły armat.

Z XVI i XVII w. zachowały się lustracje opisujące ówczesny wygląd zamku.

Pierwszy pierścień obrony stanowiło podzamcze i koryto Prosny. Wjazd na zamek odbywał się mostem na palach. Z podzamcza drewniany zwodzony most nad fosą prowadził do wieży bramnej, którą wchodziło się na dziedziniec zamkowy. Fosa i mur obronny wysokości „półtorej kopii" (ok. 7,5 m) stanowiły dwa kolejne elementy obrony. Brama zamykana drewnianymi wrotami. Na terenie dziedzińca lustracja wymieniała: kuchnię, wozownię, spichlerz oraz wieżę. Poza obrębem zamku znajdował się folwark, młyn i browar należące do niego.

W połowie XVII wieku Szwedzi zniszczyli zamek. Starosta miejscowy Jan Radziejowski „podźwignął go i do należytego stanu przyprowadził". Nie na długo jednak. Ponowny najazd Szwedów w pocz. XVIII wieku zniszczył zamek gruntownie. W połowie XVIII wieku stał już opustoszały i w ruinie. Już w początkach XIX w. ruiny te ciekawiły „badaczy starożytności". W 1900 r. powstał pierwszy projekt zabezpieczenia wieży.

W 1972 roku nieczynny od 1964 r. a zbudowany w końcu XVI w. drewniany młyn wodny, który niegdyś pracował na potrzeby zamku, znowu się ożywił. Z zewnątrz może nie było tego widać, bowiem wszystkie urządzenia przemiałowe nadal stały w miejscu. Natomiast wewnątrz ulokowali się członkowie ekspedycji wykopaliskowej Zakładu Archeologii Polski Środkowej Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk w Łodzi. Na mocy specjalnego porozumienia z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków w Łodzi badają oni dzieje zamku.

Już pierwsze dwa sezony badawcze dostarczyły wiele ciekawego materiału. Odtworzono rzut wieży bramnej i dwóch budynków murowanych na dziedzińcu. Odsłonięto relikty murów obwodowych z gankiem. Niezwykle bogaty okazał się zestaw zabytków ruchomych. Znaleziono liczne ułamki kafli piecowych z motywami zwierzęcymi m. in. wizerunkiem gryfa, podobnym do znalezionego na Wawelu, monety Alberta Brandenburskiego, Krystyny Szwedzkiej, Jana Kazimierza, ostrogi z XVI i XVII w., liczne groty bełtów do kuszy, funtową kulę żelazną do hakownicy.

Zamek w Bolesławcu należy do najciekawszych obiektów średniowiecznej architektury obronnej nie tylko na terenie naszego województwa, ale i w Polsce. Jest przykładem tzw. zamku nieregularnego. Linia murów obwodowych dostosowana jest do nieregularnego zarysu wzgórza, podobnie jak w Sieradzu (po r. 1357) i Legnicy (1208—1238). Wolnostojąca, ośmioboczna wieża ma swe najbliższe analogie w Toruniu i Radzyniu.

Prace badawcze na zamku w Bolesławcu trwać będą jeszcze kilka lat. Po ich zakończeniu, można będzie uczytelnić plan zabudowy całego wzgórza, a także stworzyć projekt zabezpieczenia i zagospodarowania obiektu dla potrzeb zwiedzających. A, że wkrótce rozpoczną się prace konserwatorskie w XVI-wiecznym młynie, w którym powstanie muzeum młynarstwa, śmiało rzec można, iż Bolesławiec stanie się jedną z najciekawszych miejscowości turystycznych na terenie województwa łódzkiego.

FOT. J. AUGUSTYNIAK

JERZY AUGUSTYNIAK

**„Polska jest natchnieniem narodów" zauważył prezydent Stanów Zjednoczonych F.D. Roosevelt oceniając moralne znaczenie naszego oporu przeciw nawale hitlerowskiej we wrześniu 1939 roku.**

To lapidarne zdanie dobrze oddaje sens polskiej nieustępliwości i odwagi w sparaliżowanej zdradzieckim duchem Monachium Europie. A choć zawiodły polityczne i militarne kalkulacje, jakie wiązała sanacja ze swymi sojusznikami na Zachodzie przykład osamotnionej Polski podziałał trzeźwiąco. Pozwoliliśmy zrozumieć światu czym jest faszyzm, którego pancerne zagony toczyły się ku Wiśle. W całym ówczesnym świecie Polską pierwsza przeczuła śmiertelne niebezpieczeństwo niemieckiego zagrożenia. Historyk angielski Kimche, w książce o wymownym tytule „Bitwa, której nie było" najkosztowniejszą operacją wojskową aliantów nazywa nigdy nie wydaną przez nich Hitlerowi bitwę we wrześniu 1939 roku. „Wtedy to należało rozpocząć zdecydowaną ofensywę przeciw hitlerowcom na całym zachodnim froncie. To właśnie ta bitwa, której nigdy nie stoczono, kosztowała Europę więcej zabitych niż wszystkie inne walki na frontach drugiej wojny światowej razem wzięte. Europa straciła 20 milionów ludzi".

Cytat ten pochodzi z interesującego eseju generała Józefa Kuropieski poprzedzającego, przy całej mnogości literatury poświęconej wybuchowi II wojny światowej, publikację dość niezwykłą na naszym rynku wydawniczym: dwutomową monografię Apoloniusza Zawilskiego pt. „Bitwy polskiego września". Niezwykłą, gdyż mimo dokumentalnego, niemal naukowego charakteru adresowana jest ona przede wszystkim do młodego czytelnika, a przedsięwzięciu tomu patronuje Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia".

Temat kampanii wrześniowej posiada obfitą bibliografię zarówno w piśmiennictwie obcym jak też, przede wszystkim, w rodzimym. Mimo upływu ponad trzydziestu lat od tamtych tragicznych wydarzeń fenomen polskiego września roztrząsany jest w setkach publikacji, na kartach powieści, wspomnień i opracowań dokumentalnych. Sam Zawilski, uczestnik kampanii wrześniowej, dowódca baterii w armii „Pomorze" z którą przeszedł bojowy szlak od jezior Koronowskich do Warszawy, jest autorem nie tylko interesującej powieści autobiograficznej „Bateria została", ale także monografii „Bitwa nad Bzurą", w których także podejmuje temat września. Lecz jego dwutomowe dzieło ostatnie wyróżnia się na tle tamtych książek zarówno rozległością opracowania, jak też pionierskimi badaniami źródłowymi. Na pracę tę, przy pełnym wykorzystaniu już istniejącej literatury, złożyły się bowiem także zebrane przez niego osobiście pisemne i ustne relacje uczestników kampanii wrześniowej przynoszące nowe materiały i poszerzające w sposób istotny naszą wiedzę o wrześniu 1939 roku.

W „Bitwach polskiego września" Zawilski-historyk zmaga się z Zawilskim-beletrystą. I choć uwaga autora skoncentrowana jest głównie na przebiegu operacji strategicznych, choć dokładnie analizuje on błędy jak też zasługi polskich dowódców z militarnego punktu widzenia, szczegółowo opisuje bojowe szlaki cofających się jednostek, oblicza ich możliwości ofensywne drobiazgowo wyliczając uzbrojenie jednostek polskich i wroga, stany osobowe oddziałów, różnice w wyposażeniu technicznym to przecież nie zabrakło tej sumiennej książce epickiego oddechu, który czyni ją dostępną także dla młodego czytelnika, a czytelnikowi dorosłemu unaocznia w całej pełni hart żołnierza, heroizm oporu. Ta koncesja beletrysty na rzecz młodego czytelnika przydała dokumentalnej pracy, owocu pięcioletnich studiów i badań, plastyki wyrazu i co tu ukrywać, surowego uroku.

„Od świtu dnia 1 września rozgorzała na całym obszarze od Bałtyku po Karpaty wielka bitwa, która w ciągu kilku dni objęła swym zasięgiem cały kraj, każdą rodzinę — pisze Zawilski w rozdziale otwierającym książkę. — Nie jest to więc historia takich czy innych posunięć sztabów, tych czy owych działań wojsk. Jest to historia nieustannego trudu i walki każdej jednostki, każdego etatowego, a często doraźnie zebranego oddziału, nieomal każdego żołnierza. Historia pierwszej walki na granicy własnego państwa do ostatniego wystrzału przed obcą granicą, którą wypadało przekroczyć, aby móc dalej walczyć z wrogiem. Dlatego też przedmiotem niniejszej książki będą nie tyle strategiczne koncepcje Naczelnego Dowództwa, nie jego coraz to nowe i często nierealne plany operacyjne, lecz szlaki bojowe jednostek i żołnierzy, ich krew i trud, którymi przepojona została każda piędź ojczystej ziemi, pieczętująca nasze prawo do niepodległego bytu.

Na polskich zagonach, powleczonych przędzą babiego lata w jesieni 1939 roku, rozegrało się około 700 bitew i znaczniejszych potyczek. Z tej ogromnej liczby wybierzemy kilkadziesiąt gdyż opisanie wszystkich przekracza możliwości jednego człowieka. Będą to, naszym zdaniem, bitwy decydujące o przebiegu nierównej walki, w których nasz żołnierz, walcząc w osamotnieniu, wykazał najbardziej nieugiętą postawę".

Aby ułatwić czytelnikowi orientację w tym rozległym, a przecież, jak się okazuje i tak tylko cząstkowym materiale, autor wyposażył książkę w uzupełnienia i indeksy podając w nich m. in. skład polskiego Naczelnego Dowództwa, polskie jednostki operacyjne, zestawiając nazwiska niektórych uczestników kampanii wrześniowej i ich stanowiska, zaopatrzył wreszcie swoją pracę w interesujące, często nieznane do tej pory materiały ikonograficzne. Nie mamy prawa powątpiewać, że dokonany przez niego wybór bitw polskiego września jest najwłaściwszy, choć jest to zagadnienie interesujące przede wszystkim historyka wojskowości.

Dla przeciętnego czytelnika istotniejsza będzie refleksja innej natury, która nasuwa się podczas lektury tej książki zawierającej tyle przejmujących wizerunków polskich uczestników kampanii wrześniowej: oto mimo upływu ponad trzydziestu lat od tamtych wydarzeń, mimo ogromu zgromadzonych i opublikowanych materiałów dokumentalnych tematu, którym można zainteresować i zdobyć czytelnika na całym świecie, jest prawie nie tknięty przez naszą beletrystykę. Wrzesień, trzeba to otwarcie powiedzieć, stanowiący dramatyczny wykładnik polskiego losu narodowego nie stał się do tej pory natchnieniem pisarzy jeśli nie liczyć paru zdecydowanie nieudanych pozycji.

Toteż rzetelne opracowanie Zawilskiego budzi nie tylko szacunek. Ono jednocześnie zawstydza uprzytamniając nam ogromne i niewybaczalne przeoczenie naszej prozy artystycznej, która w tym uniwersalnym temacie nie dostrzegła dotąd swojej szansy markując go próbami pozbawionymi ambicji i odwagi widzenia.

Apoloniusz Zawilski: „Bitwy polskiego września", Nasza Księgarnia 1972, Tom I str. 367, tom II str. 255 + Uzupełnienia i indeksy w opracowaniu Haliny Zawilskiej.

## KONRAD FREJDLICH

WRZESIEŃ
WRZESIEŃ
WRZESIEŃ
WRZESIEŃ
WRZESIEŃ
WRZESIEŃ
WRZESIEŃ

*KRYSTYNA LIBERSKA: Nocny nalot*

## Listy do Redakcji

### ŻYCIE W KOLEJCE

Ten, kto wynalazł kolejkę, był niewątpliwie reformatorem. Posądzam go o to, że nade wszystko uwielbiał porządek. Musiał też legitymować się wielkim autorytetem, skoro udało mu się z galaretowatego tłumu uformować regularny rządek ludzi, grzecznie stojących jeden za drugim. I tak już zostało po wsze czasy. Toteż teraz, gdy czegoś jest mniej, niż chętnych, ludzie spokojnie ustawiają się w kolejce. Kto przyszedł wcześniej, ten ma więcej szans, że dostanie to, na co ma ochotę. Kto późno przychodzi — zauważono to już w zamierzchłej przeszłości — ten sam sobie szkodzi. Ale to realistyczne spostrzeżenie nie wpłynęło jakoś na wzrost punktualności w narodzie. Nadal spóźnianie się należy do naszych ulubionych „zajęć".

Przyzwyczailiśmy się do kolejek, choć są i tacy, którzy powodowani pasją niszczycielską usiłują zburzyć ten społeczny wynalazek i pchają się wszędzie bez kolejki. Ale przecież kolejki są pożyteczne. Z kilku przynajmniej powodów. W kolejce na przykład można dowiedzieć się dużo ciekawych rzeczy. Można nawet prześledzić przedziwne związki i społeczne zależności.

Zdarzyło mi się niedawno być w małym osiedlu — siedzibie gminy — gdzie los rzucił mnie w przededniu przygotowywania tam tradycyjnego Święta Plonów. Miała to być uroczystość na szczeblu gminy, w której udział swój zapowiedzieli goście z Powiatu. Postanowiono więc bardzo starannie przygotować się do gminnego święta. Już od 3 września dzieci miejscowej szkoły zbiorczej ćwiczyły intensywnie krok poloneza zamiast zajmować się studiowaniem wiedzy, przypisanej im na bieżący rok szkolny nowymi, zreformowanymi programami nauczania. W okolicznych sklepach GS wykupiono płótno koloru białego, czerwonego, zielonego i niebieskiego, a także bibułki karbowane tych kolorów. Wszystko to zamieniono w gustownie wykonane dekoracje. I słusznie. Takie święto odbywa się raz do roku i wtedy siedziba gminy powinna wyglądać uroczyście. Zresztą muszę obiektywnie dodać, że osada ta i na co dzień była czysta i urocza.

Z Powiatu w tym czasie nadeszły zwiększone przydziały towarów, co wywołało radość mieszkańców, mieli bowiem okazję poprawić swoje zaopatrzenie bez konieczności podróżowania do stolicy powiatu. A że chętnych do ulatwionych zakupów było sporo, potworzyły się w sklepach liczne kolejki. Miałem właśnie okazję zająć miejsce w jednej, aby skorzystać ze zwiększonej podaży towarów. Od poczynionych zakupów bardziej pożyteczne okazały się jednak obserwacje.

Stanąłem w tej kolejce dziewiąty. Policzyłem to dokładnie, aby następnie obliczyć sobie w cichości ducha, ile czasu zajmie mi stanie w kolejce. Kupiłem jednak dopiero piętnasty, ale nie żałuję dłuższego stania. Miałem bowiem czas zaobserwować niezwykle atrakcyjną czynność zwaną urzędowo „dostawą towaru". Okazało się przy tym, że jest to czynność niezwykle pracochłonna, gdyż zajmowało się nią aż siedem osób. Przy czym towar wyładowywały dwie osoby, a pięć osób kierowało tą trudną i skomplikowaną czynnością. W ogóle tego dnia w siedzibie gminy było więcej kierowników niż pracowników. Z przyjemnością obserwowałem, jak błyskawicznie podejmowano decyzje, jak przerzucano się nimi ponad głowami ludności spokojnie stojącej w kolejce. Był to przykład niezwykle intensywnej pracy w terenie, w której uczestniczyli nawet prezesi miejscowej GS.

Kiedy już towar znalazł się na półkach, kierownicy i pracownicy udali się w bliżej nieznanym mi kierunku, a sprzedawcy, ocierając pot z czoła, przystąpili do czynności, do której zostali powołani i za którą kasjer miejscowego GS raz w miesiącu wypłaca im uposażenie. I właśnie wtedy okazało się, że wbrew logice i matematyce jestem w kolejce nie dziewiąty a piętnasty. I wcale nie dlatego, że do kolejki przyszli nowi ludzie, którzy przedtem tu stali i tylko wyszli na chwilę, aby załatwić coś innego i równie ważnego. Nic podobnego. Nowych kolejkowiczów nie przybyło. Po prostu okazało się, że pierwsza pani, niezwykle zresztą dowcipna, która pozwalała sobie na różne żarciki z kierownikami i prezesami, nadzorującymi czynność zwaną urzędowo „dostawą towaru", to ktoś znaczny w miejscowej społecznej hierarchii i że jest to osoba bardzo w siedzibie gminy popularna. Poza zakupami dla siebie załatwiła ona jeszcze — przy okazji — trzy inne osoby, które oderwały się od ważnych zadań i wpadły do sklepu z radosnym okrzykiem:

— Genia, weź jeszcze dla mnie, pieniądze dam ci w biurze!

W ten sposób dowiedziałem się, że pani ta ma na imię Genia i że pracuje w miejscowym biurze. Dwóch następnych osób z kolejki nie miałem już okazji bliżej poznać, gdyż podchodzono do nich ukradkiem i szeptano coś na ucho. Czynność ta bardzo nie podobała się przedstawicielom miejscowej ludności. Szeptem wymieniali oni niezbyt pochlebne komentarze na temat osób, szepczących ze stojącymi w kolejce, ale nikt nie zdobył się na głośną społeczną krytykę, choć wszędzie do takiej krytyki zachęca się i wzywa.

Potem do sklepu weszła pani okazałej tuszy i stwierdziła fakt aż nadto czywisty:

— Boże, jaka tu kolejka!

Po okrzyku tym podeszła prosto do lady i głosem nie znoszącym sprzeciwu zażądała towaru. I wtedy rozległ się nieśmiały protest.

— Proszę pani — powiedziała jakaś kobiecina, stojąca przede mną — my też chcemy kupić i dlatego stoimy w kolejce. Tak bez kolejki nie można.

Pani okazałej tuszy spojrzała na nią z nieukrywaną pogardą i odkryła karty.

— Zobaczymy, jak przyjdzie pani do ośrodka zdrowia i będzie potrzebny pani zastrzyk, czy też będzie pani taka mądra.

W kolejce zapanowała cisza. Wtedy nie wytrzymałem i wygłosiłem krótką prelekcję o potrzebie porządku i społecznej dyscyplinie. Ludzie patrzyli na mnie zdziwieni, ale w miarę tego, jak mówiłem, widziałem aprobatę w ich oczach i zgorszenie w oczach pani o okazałej tuszy. Nie powiedziała nic i wyszła ze sklepu. A mężczyzna stojący poza mną powiedział z zazdrością.

— Panu to dobrze, pan nietutejszy.

Święto Plonów udało się nadzwyczajnie. Był kolorowy pochód, którego trzon stanowiła młodzież miejscowej szkoły zbiorczej. Szła ona bardzo zgrabnie w takt poloneza, którego grała kapela ludowa. Były przyśpiewki, był wieniec, występy zespołów, recytacje, a także zabawa ludowa. Następnego dnia ludzie mieli podkrążone oczy, pili kawę w miejscowej gospodzie, a co śmielsi ratowali się setką „stołowej" lub „żytniej".

A ja, wracając do Łodzi, rozmyślałem o pożytku stania w kolejce. Ćwierć życia przestałem w kolejkach. Stałem w delikatesach, po taksówkę, w sklepie monopolowym, w sklepie spożywczym, po mleko, po ser, po wędlinę, po różne urzędowe papierki, do lekarza, po bilety do kina. Widziałem już kolejki dla tych, którzy mogą kupować poza kolejką, ale dopiero w siedzibie gminy, gdzieś w Polsce, udało mi się poczynić spostrzeżenia natury społecznej. I byłem wdzięczny losowi, że rzucił mnie do małej miejscowości. Czyżbym w Łodzi dowiedział się w kolejce aż tylu ciekawych rzeczy?

W Łodzi pozostałbym nadal w błogim przekonaniu, że kolejki są instytucją najbardziej demokratyczną, gdyż ten, kto staje pierwszy, kto przychodzi wcześniej, ten też wcześniej dostaje to, co chce kupić. I dopiero gdzieś w Polsce przekonałem się, że tak nie jest, że również w kolejce liczy się pozycja społeczna, znajomość i także różne inne brzydkie rzeczy, o których lepiej nie wspominać. I dlatego ośmielam się to wszystko dokładnie opisać, bo nadal jestem za porządkiem i dyscypliną społeczną i uważam, że należy ją przestrzegać wszędzie, w każdym czasie. Bez należytego porządku i bez jego poszanowania daleko — jak się to popularnie mówi — nie ujedziemy. Mam więc na koniec propozycję — pilnujmy porządku i szanujmy go.

EDWARD ZAPAŁA

## SZCZENIAKI

Państwowy Instytut Wydawniczy zaprezentował w serii „Biblioteka Jednorożca" kolejnego przedstawiciela literatury iberoamerykańskiej, tym razem pisarza peruwiańskiego Mario Vargas Llosa w opowiadaniu „Szczeniaki".

Nie jest to najwybitniejsze dzieło tego autora, lecz to co zademonstrował w niewielkiej sześćdziesięciostronicowej książeczce, pozwala wysoko ocenić jego umiejętności.

W skondensowanej, zwartej formie przedstawia przemianę tytułowych szczeniaków — grupy młodzieży wywodzącej się z limeńskiej burżuazji w ludzi dojrzałych rozpoczynających samodzielne życie. Umiejętnie obrazuje kolejne tego etapy: od „podstawówki", gdy pasjonowali się piłką nożną, pływaniem i byli urwisami w krótkich spodenkach poprzez szkołę średnią, gdzie poznali smak papierosów, zainteresowali się tańcem i oczywiście dziewczętami, wreszcie stabilizację życiową, kiedy to każdy miał żonę, wóz, dzieci, domek letniskowy i jak chyba nie bez lekkiej melancholii stwierdza autor „zaczynaliśmy tyć, siwieć, słabnąć, mieliśmy brzuchy, okulary do czytania, zgagę po jedzeniu i piciu a na skórze coraz to nowe plamki i zmarszczki.

Z tego schematycznego obrazu wyłamuje się jedna postać — Cuéllara przyjętego później do grupy, lecz szybko ponad nią wyrastającego. Przeżywa on głęboką tragedię — jest kastratem i stara się to jakoś rekompensować nadzwyczajnymi wyczynami, aby być podziwiany. Kończy się oczywiście tragicznie. Cuéllar ginie podczas jednej z szaleńczych jazd samochodem. Można to odczytać jako symbol „skastrowanego" społeczeństwa peruwiańskiego, nie potrafiącego wyjść poza utarte od lat wzory.

Świetnie uchwycony klimat środowiska młodzieży i oryginalny tok narracji są głównymi walorami tej książki.

**Mario Vargas Llosa — Szczeniaki, PIW 1973.**

## SZCZĘŚLIWI Z WYSPY ROZPACZY

**Bohaterami powieści pod powyższym tytułem, współczesnego pisarza francuskiego Hervé Bazina, są mieszkańcy maleńkiej skalistej wysepki w strefie słynnych „ryczących czterdziestek" na Atlantyku. Niezwykle ciężkie warunki życia na tym, wulkanicznego pochodzenia skrawku lądu, spowodowały nazwanie go oprócz oficjalnej nazwy Tristan da Cunha, Wyspą Rozpaczy.**

**I oto wydaje się, że los uśmiechnął się do grupki jej 264 obywateli — na skutek wylewu wulkanu i zniszczenia części wyspy — mieszkańcy zostają ewakuowani do Anglii, której są poddanymi.**

**Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znaleźli się w nowoczesnej cywilizacji. Zderzenie dwu światów — osiemnastowiecznych stosunków, postaw i obyczajów panujących na Tristan da Cunha ze zindustrializowanym wiekiem XX, nie wypada korzystnie dla tego ostatniego. Mimo zapewnienia mieszkańcom Wyspy Rozpaczy pracy, zarobków, rozrywek kulturalnych, opieki lekarskiej, nieustannie nurtuje ich myśl o powrocie, która wreszcie przybiera formę oficjalnej petycji. Sprawa trafia nawet do Izby Gmin, gdzie zapada decyzja o zorganizowaniu głosowania. Jego wynik przesądza sprawę — 148 głosów za powrotem przy 5 przeciw.**

**Manifestacyjny powrót na zniszczoną w dużym stopniu wysepkę jest wielce znamienny. Jest wyrazem nie tylko nostalgii i niemożności przystosowania do współczesności, lecz przede wszystkim umiłowania swobodnego życia bliskiego naturze i niechęci do cywilizacji.**

**Oparta na autentycznych faktach, pełna ironii a zarazem głęboko humanistyczna, współczesna opowiastka filozoficzna, jest wielce pouczająca dla nas zafascynowanych nowoczesną techniką.**

**Herve Bazin — Szczęśliwi z Wyspy Rozpaczy, Czytelnik, 1973.**

## STAROŻYTNY WSCHÓD

Nie od dziś wiadomo jak wiele nasz współczesny świat zawdzięcza starożytnym cywilizacjom. Jednak, aby sobie to w pełni uświadomić, trzeba sięgnąć do odpowiednich źródeł.

Jednym z fundamentalnych dzieł w tej dziedzinie jest niewątpliwie, wydana przez PIW w serii ceramowskiej, praca H.W.F. Saggsa, profesora Uniwersytetu Londyńskiego, wykładowcy języka akadyjskiego pt. „Wielkość i upadek Babilonii".

Wybitny naukowiec, autor wielu prac z dziedziny historii i kultury starożytnego Wschodu, w sposób wyczerpujący a zarazem wszechstronny, lecz i, co nie jest bez znaczenia, przystępny, przedstawia dzieje starożytnej Mezopotamii ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju cywilizacyjnego Asyrii i Babilonii.

Obszerny, blisko pięćsetstronicowy tom, podzielił H. Saggs na dwie zasadnicze części: „Historia ogólna i polityczna" obrazującą dzieje Mezopotamii oraz Babilonii, a także narodziny i rozwój potęgi Asyrii i „Historii społeczeństwa i kultury, gdzie szczegółowo zajmuje się takimi dziedzinami życia jak: prawo, dyplomacja, administracja, handel i życie gospodarcze, religia, literatura, nauka.

Niezwykle interesujący jest rozdział poświęcony literaturze, w którym autor omówił szeroko najwybitniejszy i najbardziej znany utwór literatury w języku akadyjskim — epos o Gilgameszu, a także równie szeroko potraktował inne mniej znane utwory, obficie przytaczając cytaty, wreszcie przedstawił zawsze aktualną tzw. literaturę mądrości.

Podsumowujący pracę rozdział „Spuścizna i co z niej przetrwało" uświadamia nam dobitnie jak wiele z osiągnięć Babilonii w różnorakich dziedzinach przeszło do cywilizacji europejskiej.

**A.N.**

**H.W.F. Saggs — Wielkość i upadek Babilonii, PIW 1973.**

## OPTYMISTYCZNA HISTORIA UPADKU

**Erskine Caldwell — w młodości zawodowy piłkarz, kelner, reporter, zbieracz bawełny, kucharz, a także wykonawca kilkunastu innych jeszcze zawodów, a dla literatury amerykańskiej i światowej pisarz, autor ponad 40 książek tłumaczonych na wiele języków świata (m.in. i na język polski) na naszym rynku wydawniczym pojawił się znowu opowieścią bez której to, jak on sam podkreśla, dzieje Południa, które od lat pisze byłyby niepełne i stronnicze. Ta niewielka powieść jest historią degeneracji, ostatecznego bankructwa ludzi należących do „rasy białych panów", którzy stanowili o Południu wielkich fortun, o Południu niewolników. Jest historią o degradacji moralnej i materialnej białych, którzy nigdy nie pogodzili się z myślą, iż Czarny może być zrównany w prawach i wolny. Jest to wreszcie historia upadku rodu i klęski uczucia dwojga ludzi odmalowana na szerokim tle społecznym, gdzie obok nędzy, upokorzenia, najniższej egzystencji Czarnych wegetują na takich samych jak oni prawach — czyli poza prawem — „biali" Murzyni, drobni dzierżawcy. „Dom na wzgórzu" jest opisem tragedii lecz w efekcie końcowym jest to książka optymistyczna w swym widzeniu jutra. Caldwell-kronikarz Południa, bezwzględnie dokonuje wiwisekcji na społeczeństwie rządzonym rasową dyskryminacją, nędzą i upodleniem. Caldwell-pisarz jest humanistą i optymistą wierzącym w człowieka.**

**A. G.**

**Erskine Caldwell — „Dom na wzgórzu", Czytelnik, W-wa 1973**

Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (17)

### ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

**Pierwszym dźwiękiem, jaki posłyszałam, był mój własny piskliwy śmiech — śmiałam się wykrzykując: — Czarnuch? Nie ma tu żadnego czarnucha, ludzie! Zarówno słowa, jak śmiech zostały stłumione dłonią, która zakrywała mi usta.**

**Odepchnęłam dłoń i znów wykrzyknęłam:**

**— Ludzie, nie ma tu żadnego czarnucha! — A zrobiłam to tylko dlatego, bo ten młody głos w dalszym ciągu zapewniał, że tutaj właśnie, pod moim drzewem jest Murzyn, ten przeklęty czarnuch!**

**Gdzieś wysoko, daleko odzywał się ów głos, a był on nabrzmiały cierpieniem. Wołał tylko jakieś imię. Imię, które było mi zupełnie obce.**

**— Selina... Selina...**

**Ja się nazywałam Sleena. Kto to, do diabła, ta Selina? Czemu się nie odezwie, żeby ten głos wreszcie umilkł? Ja też powinnam zawołać, żeby choć trochę pomóc temu zbolałemu głosowi. Krzyknęłam głośno — jak przez trąbkę.**

**— Se-li-na!...**

**— Och, najdroższa, przestań...**

**O, Boże! Ktoś znajduje się w niebezpieczeństwie.**

**Nie wiadomo skąd, znalazła się nagle przy mnie Sadie. Walczyłam, żeby się od niej uwolnić, ale Sadie to silna kobieta, mogłaby nawet zabić!**

**— Milcz! — wrzasnęła. — Mówię ci milcz! On cię zgwałcił! Milcz...**

**Walczyłam z Sadie, biłam się z nią. Udało mi się jej pozbyć.**

**Byłam zmęczona! Jakże strasznie zmęczona! I do tego nie miałam żadnej szansy, żeby to się tak łatwo skończyło. Ledwie pozbyłam się Sedie, jej miejsce zajęła Rose-ann. A ona była gruba. Nie mogłam złapać tchu.**

**Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby Rose-ann śmiała się tak szaleńczo, jak teraz, kiedy mnie przygniatała swym ciężarem.**

**O wiele trudniej pozbyć się Rose-ann niż Sadie. Jednakże spróbowałam to zrobić.**

**O, rety! Jaki straszny hałas! Leżałam na ziemi i zastanawiałam się, co się dzieje! Dlaczego leżę na ziemi? Czy to rzeczywiście ziemia? Dziadek bez przerwy tupał.**

**Co to powiedział ten młody głos? Coś o czarnuchu? Nie. Wszystko mi się pomieszało. To była Rose-ann. Rose-ann powiedziała... pierwsza klasa mieszkanie w dzielnicy murzyńskiej...**

**Kolorowych! To znaczy czarnych! Na miłość boską, nie! Byłam już w takim pierwszorzędnym mieszkaniu. Ręce, które mnie dotykały, należały do Murzyna. Na miłość boską, nie!**

**— Nie! — krzyczałam. — Weź ode mnie te ręce! Ty czarny, ty przeklęty czarnuchu! — Walczyłam. O rety, i to jak walczyłam.**

**— Nie-rób-mi-tego... Selino!... — Co to? Mój dąb przemawia? Wiedziałam, że on to potrafi. Ale kim jest ta, do której on mówi? Kto to jest Selina?**

**— Selina, dlaczego nie odpowiadasz drzewu? Nie często się spotyka drzewa, w kształcie serca! — krzyczałam przez trąbkę. Głośno. Bardzo głośno.**

**Jakiś silny młody głos nie przestawał wykrzykiwać — chyba nigdy nie przestanie:**

**— Pomocy!... pomocy!... Tutaj, tutaj! Pod drzewem ten Murzyn! Pomocy, biała dziewczyna. Pomocy, pomocy, ona jest poraniona! Szybko, szybko!**

**Odgłos biegnących nóg. Z całego parku, biegną po trawie — idą na ratunek czy szykują się do ataku? To bardzo prawdopodobne.**

**Nie podobał mi się hałas, jaki robili. Kim byli ci ludzie? Mężczyźni, kobiety, nawet dzieci? Rozwrzeszczani i zasapani.**

**Rzeczywiście, niedobrze to wyglądało. Nigdy nie słyszałam jeszcze tak szalonego, zwariowanego tłumu.**

**Czy to możliwe? Już to słyszałam. Dużo razy w radio... taki rozgorączkowany motłoch.**

**Tym razem to nie było radio, ale rzeczywistość. O Boże! Miałam nadzieję, że to nie mnie gonią. Mnie? Chyba oszalałam! Biegli przecież złapać czarnego!**

**— Tutaj... tu... pod drzewem. Pomocy! — wołałam.**

**Sytuacja stała się zbyt, zbyt... niebezpieczna. Podczołgałam się bliżej drzewa. Jak to dobrze! Przytuliłam się do drzewa, by poczekać, aż przejdzie burza.**

**Ojej! A była to okropna burza! Czy nigdy się nie skończy? O co to wszystko? Nie wiem. A czy chociaż ktoś wie?**

**— O co to wszystko? — krzyknęłam.**

**Nikt nie miał czasu odpowiadać na pytania niewidomej dziewczyny. A był przecież kiedyś ktoś taki, kto odpowiadał na moje pytania. Kim on był?**

**Przypomniałam sobie.**

**Gordon! Gdzie jest Gordon? Co się wydarzyło pod naszym drzewem? Okropna rzecz się stała... Ale gdzie jest Gordon?**

**Przysłuchiwałam się ciężkim oddechom walczących mężczyzn. Głosem podniesionym lub cicho pomrukującym, nabrzmiałym straszną nienawiścią.**

**Potem zostałam pod drzewem sama.**

**Głosy cichły w oddali, rozbrzmiewał tylko tupot nóg goniących za Murzynem.**

**Tym mężczyzną był Gordon. Na miłość Boską, nie!**

**Szaleństwo i szok, który wywołał to szaleństwo, nagle gdzieś zniknęły. Podniosłam się i zawołałam:**

**— O Boże! Miej go w swej opiece. Pozwól mu uciec.**

**Pozwól mu tylko uciec. Wszystko poza tym jest nieważne. Niechby tylko udało mu się uciec.**

**Co on takiego zrobił, żeby aż musiał uciekać? Nic. Gordon nic mi nie zrobił.**

**Gdyby jego matka... matka, która go urodziła... i jego ojciec... gdyby oni byli biali, nigdy by do tego nie doszło. Gordon mógłby zostać, stanąć przed tymi ludźmi i wytłumaczyć im, co się wydarzyło. Przecież to proste. Niewidoma dziewczyna upadła w krzaki róż i podrapała sobie twarz.**

**Moja ślepota nie odstręczała ode mnie Gordona. Mój los tylko spotęgował jego miłość do mnie.**

**— Och, mój najdroższy — zawodziłam i przyciskając zimne dłonie do serca czułam w nich jakby kawałki potłuczonej filiżanki, którą on napełnił szczęściem. Czułam, jak ostre, małe kawałeczki wrzynają się w moje ciało. Nie doświadczyłam jeszcze takiego bólu.**

**Joe Faber wszedł ponownie pod drzewo. Swoim miłym cienkim głosikiem powiedział:**

**— On uciekł, Sleeno! Uciekł, ale nie bój się, cały jest poraniony. Daleko nie ucieknie. O, raju! Umie się bić, ten czarnuch.**

**— Cicho! — powiedziałam. — Bądź cicho!**

**— Niedobrze się czujesz, Sleena? Źle wyglądasz.**

**— Dobrze się czuję — odparłam. — Tylko nic nie mów.**

**Usiadł cichutko. Joe, syn pana Fabera.**

**Usłyszałam niewyraźny głos powracającego tłumu.**

**Nie był to gromki tupot stóp, ale powolny, zawiedziony krok.**

**Wkrótce zorientowałam się, że to banda, do której i ja się zaliczam z powodu mojej niewiedzy i braku tolerancji, zechce zapewne przyjść do mnie.**

**Będą pytać, pełni podniecenia. Dobrze, niech przychodzą. Siedzieliśmy z Joe czekając na nich.**

**Przypomniałam sobie, jak Gordon wołał: — Niszczysz mnie, Selino! — Ale on się mylił.**

**Siła, jaką posiadał, nie pozwoli, żeby go zniszczono.**

**To siebie, Selinę, zniszczyłam.**

**Był jakiś smutek w powolnym kołysaniu się gałęzi nad moją głową, w pulsującej ciszą ziemi pod moimi stopami.**

**Położyłam rękę na pogrzebanej w ziemi pozytywce. Nigdy nie spytałam Gordona, co oznaczają słowa tej smutnej piosenki.**

**Zaczęłam płakać. Siedziałam i płakałam. Jakie to było krzepiące, że mogłam się wypłakać.**

**Płakałam z powodu ślepoty mego serca i umysłu, z powodu mego braku tolerancji, z mojej bezsensownej podłej nienawiści tego, co nie zasługuje na nienawiść.**

**Płakałam gorzko i uświadomiłam sobie nagle z przerażeniem, że powinnam jeszcze więcej płakać i to bardziej gorzko, bo już nigdy nie usłyszę i nie zobaczę więcej Gordona.**

**Odszedł. W haniebny sposób niczym wściekły pies został wypędzony... Wiedziałam — tak jak Bóg na niebie — (i to właśnie sprawiło mi największy ból), że Gordon powstrzymałby mnie od ponownego pogrążenia się w ciemnościach, tak samo jak pomógł mi się stamtąd wydostać. Przysłałby Alice Braddon. Świadomość tego była boleśniejsza od śmierci.**

**Na moich „jasnozłotych włosach" płonęły gorące węgle.**

**Myślałam, że tym razem płacz wycisnął z mych oczu łzy. Dotknęłam twarzy. Była sucha.**

**— Już wszystko w porządku, Sleena?**

**— Tak. Jak najbardziej w porządku, Joe.**

**Przestałam płakać i wyprostowałam się.**

**— Nie nazywam się Sleena. Joe. Moje imię brzmi Selina.**

**Wkrótce tłum otoczy mnie. Ale nie dbałam o to.**

**Jakie to było dziwne. Jakie strasznie dziwne. Przez całe życie nienawidziłam wszystkiego, co czarne, i to straszliwie nienawidziłam, a jednak najwspanialszymi ludźmi, jacy pojawili się w moim życiu, byli właśnie czarni.**

**Gordon. Jego brat Paul i... i...**

**Kiedy zebrała się wokół mnie grupka podnieconych, pełnych zaciekawienia ludzi, przypomniałam sobie nagle i wykrzyknęłam:**

**— Pearl. Przepraszam cię, Pearl...**

**— Jest w szoku — powiedział jakiś obcy głos. — Biedne dziecko, dostało szoku.**

**— A dziwi się pan? — spytał ktoś.**

**Niech sobie mówią. Niech się dziwią. To nie ma znaczenia.**

**Nikły promień światła rozjaśnił moje ciemności. Słaba iskierka nadziei narodziła się w moim sercu...**

**Czy ja, Selina, nie mogłabym uderzyć w bęben, poruszyć czysto dźwięczącym dzwonkiem dla kogoś innego — dla czegoś?**

**Mogłabym?**

**Jeżelibym mogła, to dla kogo? Dla czego?**

**Musi istnieć przecież ktoś czy coś?**

**O Boże! Byłam taka zmęczona. Zanadto zmęczona, żeby szukać, żeby myśleć...**

**Nagle zapłonęło jasno światło zrozumienia. Napełniło mój umysł, skąpało mnie w swoim pięknie. Jak mogłam zapomnieć? Jak mogłam?**

**Ulubione słowo Gordona, to właśnie to „coś", czego nawet on nie potrafił opanować.**

**Tolerancja.**

**Usłyszałam pierwsze delikatne uderzenia bębna — mego bębna.**

**Podniosłam się i wykrzyknęłam głosem czystym, rozgłośnym, przypominającym dźwięk dzwonka:**

**— Pearl, kocham cię, Pearl! — I naprawdę ją kochałam.**

**— Z nią rzeczywiście jest niedobrze — odezwał się jakiś nieznajomy głos.**

KONIEC

# JARLAN - 73

## Dalszy ciąg ze str. 1

W pewne sierpniowe upalne popołudnie wysiadłem sobie z Pekaesu w Jarosławiu, na ulicy wytyczonej jednorodzinnymi domkami, które można by bez żenady nazwać willami, a która to uliczka zamieniona została w niezbyt nowoczesny, ale za to rozciągnięty w swej topografii nader ruchliwy dworzec autobusowy. Owionął mnie najpierw gęsty zapach kwiecia różnego z ogródków, otaczających owe jednorodzinne wille (i wille i ogródki bardzo zadbane), potem dopadła mnie ciężka, słodko-mdląca woń z pobliskiej fabryki cukierków, pomieszana z kwaśnym zapachem potu i nieprzetrawionego do reszty piwa, jaką wydzielał stłoczony wzdłuż ulicy tłum, czekający cierpliwie na swoje autobusy. Kobieciny przycupnęły przy swych kobiałkach, chłopi pili piwo i zajadali pieczone kiełbaski z rożna, na ławkach spali rozwaleni, „gminni" eleganci w butach z „jaszczurowej" skóry na wysokich obcasach i w jaskrawych koszulach z obfitymi żabotami. Prowokująco błyszczało słońce w nitach na paskach zegarków, kropelki potu perliły ich czoła...

Witaj mi miasteczko rzeszowskie! Witaj mi prowincjo w przeźroczystych, jedwabnych koszulach, dżinsach, w baczkach i wąsikach, witaj mi w odorze piwa, jarzębiaku i księżycówki, witaj mi chojracko-drzemiąca prowincjo w sztafażu stroskanych, pooranych twarzy starych kobiet...

I przypomniał mi się wiersz Andrzeja Bursy, który kiedyś, przed laty, czytałem w tymże samym Jarosławiu, w którym wtedy nie było jeszcze owego autobusowego dworca, w pośrodku willi jednorodzinnych, a sam wiersz był skreślony na świstku papieru, i nie wiedział wtedy jeszcze, że będzie kiedykolwiek wydany drukiem:

**Kuternoga z wiatrakiem w rogu w karty trzaska**
**Na policzkach kelnerki czerwonawe plamy**
**Dostaniesz tylko piwo i suche kiełbaski**
**W gospodzie lśniącej żółtym lakierem na ścianach**
**Socjalizm napracował się w kamieniołomie**
**I do budki odjechał na małej drezynce**
**W uliczkach suche grzywy przesypują konie**
**I chłopi końskie zdrowie przepijają w szynku**
**Ej miasteczko chędogie butne rzeczywiste**
**Z którego wszystkie drogi prowadzą do Rzymu**
**Po tabakę zapałki i wodę ogniste**
**Wiodą w dżdżyste wieczory grząskie koleiny**
**Tam gdzie brunatna broda grzyba na pułapie**
**Szczekające kominy blaski w szklankach błędne**
**I ludzie co godziny mielą jak wiatraki**
**Kiedy im przytupuje tłusty król żołędny**

I oto jestem znowu w Jarosławiu, w roku 73, i czytam inny, w tym mieście napisany wiersz, nie tak dobry jak tamten Bursy, ale jakże znaczący dla tego wszystkiego, co stało się w tym właśnie mieście na przestrzeni ostatnich lat.

**Umilkły jasnowłosych dziewcząt pieśni**
**Nucone w żniwny, gorący czas.**
**Inne melodie dziś nucą maszyny**
**Snując...**
**Anilany kolorową nić,**
**By wić, wiązanki róż barwnych wdzianek**
**Dla ciebie**
**Dla mnie**
**Dla każdego z nas**
**Taśma perforowana,**
**Jak ręce prząśniczki**
**Równo wiąże oczka w nakazany splot**
**A z myśli technicznej zrodzona maszyna**
**Przekazy impulsów wychwytuje w lot**
**A potem...**
**Pochylone szwaczek głowy**
**Nad migającą igłą**
**Sprawnych palców dotknięcia**
**I wyrób gotowy**
**Śpiewają Bentleye**
**Śpiewają Textilmy**
**A w takt im wtórują**
**Te same dziewczyny**
**Co niegdyś nuciły piosenki lipcowe**
**...w gorący żniwny czas.**

Nie powiadajcie mi, przyjaciele poeci, o heksametrach greckich, złożonych z sześciu stóp daktylicznych, które — poza stopą piątą — zastąpić można spondejami, bo nie o heksametry i spondeje tu idzie, a o rzeczywistość... Rzeszowskie miasto omijane całymi latami przez inwestycje i awanse, leżące na uboczu pośród pól cebulowo-buraczanych, na okolice młynami i cukierkami słynące, dostąpiło na koniec mobilitacji w hierarchii współczesności. Zbudowano tu **Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „JARLAN".** Zbudowano je szybko, nowocześnie i, jak to się mówi w referatach, „ z pożytkiem dla miasta".

2.

Decyzja budowy Zakładów zapadła w wyniku realizacji szerokiego programu rozwoju branży dziewiarskiej i pończoszniczej w skali kraju i województwa rzeszowskiego do roku 1975. I tak realizując ów plan Komisja Planowania w oparciu o wytyczne Rady Ministrów wydała w dniu 30. 12. 65 roku decyzję nr 316/65 o podjęciu prac inwestycyjnych związanych z budową Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego w Jarosławiu w grodzie starym, w zabytki i tradycje kulturalne bogatym. Zakład zlokalizowano w południowo-wschodniej części miasta przy szosie „E-22", wiodącej, jak ów prastary szlak, ze Wschodu na Zachód, z Przemyśla do Krakowa. **Prace rozpoczęto w październiku 1969 roku — zakończono zgodnie z planem 30. 9. 1972 roku.**

3.

Znalazłem obszerną kronikę lat budowy. Wertując ją, człowiek z wyobraźnią odtworzyć może z łatwością historię ludzkiego trudu i zaangażowania. Nie jakiejś gigantycznej budowli, która wytycza nowe koryta rzekom i tworzy nowe morza, klimaty, nowe krajobrazy, a budowy zakładu w prowincjonalnym mieście, zakładu jednego z wielu, jakie nanoszą się na mapę naszego kraju. Nanoszą się za sprawą ludzi.

A oto fragmenty tej interesującej kroniki:

**„1. 10. 1969 r.** — Roboty przygotowawcze zakończono. Rozpoczęto prace podstawowe.

**1. 3. 1970 r.** — Wraz z kontynuacją budowy Zakładu odbywa się intensywne szkolenie kadr fachowych. Pierwsza ekipa pracowników wyjeżdża do Łodzi, do Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego im. Jurczaka.

**4. 5. 1970 r.** — Wielki dzień Jarosławia i przyszłego „JARLANU": Tow. Władysław Kruczek i minister Tadeusz Kunicki wmurowali akt erekcyjny.

**7.5. 1970 r.** — Jakkolwiek trwa dopiero budowa nowej fabryki jej przyszłą produkcją zainteresowały się już kraje socjalistyczne, a także Anglia, Francja i inne kraje Europy oraz kraje zamorskie...

**4. 2. 1971 r.** — Dwie maszyny cottonowe firmy „Textima" już w „JARLANIE". Montaż pierwszej maszyny w Ośrodku Szkoleniowym przez monterów z NRD i przeszkolonych w Łodzi fachowców.

**Marzec 1971 r.** — „JARLAN" rośnie w oczach. W głównej hali jeżdżą jeszcze ciągniki a plastycy opracowują już wzory bluzeczek...

**18. 3. 1971 r.** — Wkrótce pierwsze wyroby „JARLANU", a w głównych halach produkcyjnych trwają prace budowlane.

**12. 4. 1971 r.** — Z maszyny cottonowej „Textima" schodzi pierwszy wyrób!

**25. 5. 1971 r.** — Czy budowlani dotrzymają słowa?

**4. 7. 1971 r.** — Półrocze w „JARLANIE" — znaczne przyśpieszenie tempa robót. Z umów nie wywiązuje się „Mostostal". Jeśli nie ruszy serce Zakładu — kotłownia — termin oddania „JARLANU" zostanie przesunięty o pół roku.

**27. 7. 1971 r.** — Rozpoczęto montaż dalszych maszyn cottonowych — siedem wzorów sweterków wyprodukowanych w Ośrodku Szkoleniowym ujrzy niebawem światło dzienne (w sklepach).

**1. 8. 1971 r.** — Oddano pod montaż maszyn pierwszą część hali dziewiarni.

**22. 10. 1971 r.** — „JARLAN" dogoni czołówkę dziewiarską — od miesiąca z sześciu maszyn cottonowych schodzi kilkaset elementów odzieży dziennie.

**9. 12. 1971 r.** — Meldunek o całkowitym wykonaniu zobowiązań podjętych na cześć VI Zjazdu partii.

*Montaż głównej hali produkcyjnej „Jarlanu".*

**3. 1. 1972 r.** — Pomyślny start do nowego roku! Trwają prace wykończeniowe w głównej hali produkcyjnej. Odbywa się montaż maszyn. Trwa intensywna praca szkoleniowa.

**6. 9. 1972 r.** — Wiceminister przemysłu lekkiego Związku Radzieckiego E. Aleksiejew zwiedził „JARLAN". Wprawdzie w głównych halach trwają jeszcze prace murarskie, a w innych gotowych już pomieszczeniach odbywa się montaż urządzeń, to jednak już za kilka dni wyroby ze znakiem „Jarlan" ukażą się w sprzedaży.

**9. 9. 1972 r.** — Już za kilka dni opuści „JARLAN" pierwsza partia 10.000 sztuk bluzek.

**11. 9. 1972 r.** — W domu towarowym WSS „Jarosław" pierwsza sprzedaż wyrobów „JARLANU" — towar „chwycił".

**29. 9. 1972 r.** — Poważne przeszkody napotyka montaż kotłowni.

**12. 1. 1972** — „Jarlanowa receptura" — bada się przy pomocy testów przydatność kandydatów do wykonywania zawodu.

**16. 1. 1972 r.** — Kocioł „Jan" — uruchomiony. Oczekiwana para technologiczna już w hali produkcyjnej. Tempo prac budowlanych przybiera na sile. Przedsiębiorstwa współuczestniczące ściągają rezerwy na plac budowy.

**3. 2. 1972 r.** — W „JARLANIE" za pięć dwunasta! Trzeba ogromnego wysiłku, by zmieścić się w granicach cyklu inwestycyjnego!

**22. 2. 1972 r.** — W tym roku „JARLAN" dostarczy na rynek około 400.000 sztuk wyrobów!

**3. 3. 1972 r.** — Podczas wiosennej giełdy „JARLAN" po raz pierwszy zaprezentuje kolekcję 30 własnych wzorów.

**8. 3. 1972 r.** — Piękny gest z okazji Święta Kobiet — ufundowano dwie książeczki mieszkaniowe z wkładami po 5.000 złotych dla sierot.

**25. 3. 1972 r.** — Oddano pomieszczenia wykończalni.

**Wrzesień 1973 r.** — Pierwsza nagroda za stoisko i 6 srebrnych medali zdobył „JARLAN" na targach w Poznaniu.

**30. 9. 1972 r.** — Budowlany non-stop w „JARLANIE". Wczoraj do późnych godzin nocnych pracowało na budowie ponad 500 robotników. Prace porządkowe wykonuje również załoga „JARLANU". Zgodnie z harmonogramem rozpoczął się odbiór techniczny obiektu. W produkcji znajduje się kilkadziesiąt wzorów wyrobów. Zakład oddany do eksploatacji.

4.

W oficjalnym wystąpieniu naczelny dyrektor Zakładów „JARLAN", **JAN LEŚNIAK,** mówi:

**„O przebiegu robót budowlano-montażowych, a zwłaszcza jakości wykonawstwa można mówić niemal w nieskończoność. Dlaczego? Ponieważ — mimo oddania ZPDz. „JARLAN" w terminie, jaki przewidywał harmonogram, inwestycja posiada wiele mankamentów. Poważnym błędem było hołdowanie tradycyjnej „strategii" inwestowania, to znaczy przydzielania zbyt małych limitów w pierwszych dwóch latach budowy. Wtedy właśnie, gdy można było gonić z budową, by później mieć więcej czasu na prace wykończeniowe, robota wyraźnie kulała. Efekty takiego działania odczuliśmy dotkliwie w ostatnich trzech kwartałach br., kiedy to nastąpiła gwałtowna koncentracja robót wykończeniowych, robót bardzo pracochłonnych i wymagających starannego wykonania. Tymczasem ich jakość, zwłaszcza w budynku administracyjnym, daleko odbiega od ideału. Pomimo bardzo efektownej, przyciągającej oczy szaty zewnętrznej, każdy kto wejdzie do środka budynku, rozczaruje się jego prawdziwym wyglądem. A tak, na marginesie spraw budowlanych, pragnąłbym dodać, że gdyby mi przyszło realizować podobną inwestycję w przyszłości, to przede wszystkim chciałbym doprowadzić do końca rozpoczęte tu dzieło. Mam na myśli takie przygotowanie kadry do pracy, by słowa o dochodzeniu do zdolności produkcyjnej wyeliminować z języka ekonomicznego. A więc — nie Ośrodek Szkoleniowy, lecz wcześnie oddana do użytku hala dziewiarni, gdzie mogłyby się uczyć setki osób, już bezpośrednio przy maszynach produkcyjnych. Wtedy wyniki pracy szkoleniowej byłyby jeszcze lepsze niż obecnie".**

Że nie wszystko szło przy budowie najnowocześniejszego zakładu dziewiarskiego w Polsce nie najnowocześniej, świadczą słowa dyrektora przedsiębiorstwa budownictwa przemysłowego, mgr inż. **ADAMA SKOMRY:**

**„Kiedy przystąpiliśmy do budowy znanych już dziś Zakładów „JARLAN", nie miały one jeszcze swej nazwy. Również**

# OCALANIE WARTOŚCI

## Dalszy ciąg ze str. 1

Kiedyś, w latach zaborów „Tygodnik Ilustrowany" był przepełniony publikacjami historycznymi. Charakterystyczne zapatrzenie w przeszłość, kiedy „rzeczywistość skrzeczy". Dziś współczesność wypiera przeszłość, a przecież winna tu być madra równowaga.

Pamiętamy te dwa wahadła w literaturze. Kiedyś w latach 50-tych panowało w poezji MY — z prawie zupełnym zatarciem świata przeżyć i odrębności samego poety. A przecież wiemy, że poeta wyraża siebie, ale poza nim jest także świat zewnętrzny... Więc i w poezji winna panować ta równowaga — też musimy wyrażać uczucia zbiorowe, nie wyrzekając się swojej osobowości twórczej.

W mojej poezji czuję potrzebę mówienia o przeszłości. Był czas, kiedy zapomniano o pięknej postaci księcia Józefa Poniatowskiego, napisałem wówczas o nim wiersz. Dziś Poniatowski jest „modny", więc oczywiście nie piszę o nim, ale np. o zapomnianym kapitanie Wieckowskim... Jest parę setek wierszy o Warszawie; wzrusza mnie jej piękno, szanuję jej historię — ale piszę wiersze o małych, zapomnianych miasteczkach, o Kuflewie, Wawolicy...

Mój poetycki dorobek zamknąłem w świeżo wydanym tomie wierszy z całego życia pt. „Karta powołania". W większości składa się on z utworów nigdy dotąd nie drukowanych.

*„ODGŁOSY": Wydał Pan również kilka książek prozatorskich...*

**Tadeusz Chróścielewski:** Moją prozą chcę ocalać od zapomnienia, utrwalać odeszły już świat i ludzi. Tak jak poezja i czas poezji jest utrwalaniem wartości i czasem wartości, tak proza jest ocalaniem od zapomnienia. Spraw, ludzi, języka... Pokolenie moich rodziców gdzieś się „zapodziało". Kiedy byłem ostatnio w moim rodzinnym Mińsku Mazowieckim, zobaczyłem, że to pokolenie prawie całe spoczywa już na cmentarzu. A także prawie połowa mojego pokolenia, które poległo na wojnie... Uświadomiłem sobie, że pozostały po tych ludziach najkrótsze utwory świata — epitafia nagrobne: imię i nazwisko, data urodzenia i śmierci... Coraz mniej ludzi wie i rozumie całość życia tamtego pokolenia. Całość życia, a więc obyczaj, mentalność, wrażliwość, spory ideowe... A za każdym epitafium na tysiącach polskich cmentarzy kryje się jakaś Sprawa, jakaś Rzecz.

Miejsce tych Spraw i tych Rzeczy jest w literaturze — właśnie w prozie. Ocalanie przeszłych czasów — ludzi, języka... Pisząc moje powieści uświadamiałem sobie także przypadkowość przechodzenia do historii... Oto w Powstaniu Styczniowym brało udział 40 tysięcy ludzi, kiedy szperam po archiwach, wciąż spotykam te same nazwiska — w sumie nie więcej niż 400. Trzy czwarte tych nazwisk nosili ludzie z Krakowa i Warszawy, a więc inteligencja, gdzie przekaz z pokolenia na pokolenie był siłą rzeczy łatwiejszy, gdzie pisało się pamiętniki... A konspiracja styczniowa Siedlec, Piotrkowa jest prawie zupełnie zapomniana. I warto było owe piękne karty powstańcze tej młodzieży ocalić od zapomnienia. A właściwie przywołać naszej pamięci.

W ten sposób powstała moja książka „Szkarłatna godzina". Zaczęło się od niewinnego snobizmu — poszedłem tropem mojego dziadka, jednego z dowódców powstania — a natknąłem się w archiwach na nieznane karty powstańczego zrywu tamtej młodzieży... Postanowiłem właśnie ich życie przypomnieć — ich lektury i spory, ich język. Studiowałem stare fotografie, pamiętniki, mapy, kurs pieniądza i obyczajowość...

Właśnie temu przypominaniu całości życia umarłych pokoleń służą moje powieści. Chcę pokazać polską rodzinę na przestrzeni pokoleń: od „Rodziny Jednorożca" o wątku częściowo autobiograficznym, poprzez „Laskę Matuzalema" (która ukaże się w „Czytelniku", być może, już w końcu tego roku)... Chcę pokazać, jak istotną więź tworzy lub powinna tworzyć rodzina, właśnie dlatego, że dzieje polskich rodzin są tak dramatyczne. Polacy jak Nomadzi wędrują po Polsce — moja rodzina na przestrzeni trzech pokoleń dwanaście razy zmieniała miejsce pobytu w kraju...

Chciałbym, aby z moich powieści ułożył się cykl — „Srebrna i odloty", „Aure-

my, budowlani, nie mieliśmy wówczas pełnego obrazu zadania, jakie nas czekało. Po prostu tego typu inwestycji dotychczas rzeszowskie przedsiębiorstwo nie realizowało. Przy budowie napotkaliśmy szereg trudności. Miały one swe źródło w stosowanej w tym czasie polityce inwestycyjnej, polegającej na całorocznym ustalaniu zaniżonych limitów przerobowych. Wbrew zasadzie koncentracji kierowano środki na nadmierną mnogość zadań inwestycyjnych metodą „zaczepiania o plan", kosztem inwestycji już rozpoczętych. Metody takie przy budowie „JARLANU" doprowadziły do tego, że w okresie dwu i pół letniej realizacji inwestycji, wykonano zaledwie 60 proc. całkowitej wartości robót, natomiast 40 proc. i to robót najpracochłonnych przypadło na trzy kwartały bieżącego roku. Ten nieprawidłowy rozkład prac w czasie budowy spowodował, że dotrzymanie terminu przekazania zakładu przez załogi przedsiębiorstw wykonawczych stało się zadaniem szczególnie trudnym. (...) Z przyjemnością chciałoym podkreślić harmonijną współpracę z biurem projektów. Wykonawcom robót dużą satysfakcję daje fakt wybudowania nowoczesnego zakładu o pięknej architekturze przemysłowej".

5.

Wokół Jarosławia rolnictwo — pola buraczane, cebulowe. W Jarosławiu przemysł nowoczesny, a dodać tu trzeba, że „JARLAN" już w niedługiej przyszłości będzie miał towarzysza — nieopodal buduje się wielką **hutę szkła.** Dokonają się — już się po części dokonały — głębokie przemiany w strukturze okolicznych wsi. Wielu rolników stało się lub niezadługo się stanie robotniko-rolnikami, którzy jeno w żniwa na wieś wracać będą. I jeszcze jedno — przemysł, który wszedł w Jarosław, wpłynie na jego strukturę kulturalną. Pytanie — jak?

Do tej pory wydarzeniem w Jarosławiu były występy zespołów regionalnych. Lecz apetyty rosną w trakcie jedzenia. Jarosław nie ma na przykład teatru, a chciałby go mieć. Jarosław chciałby też mieć zrekonstruowane i odnowione zabytki. Takoż zaplecze gastronomiczno-rozrywkowe, bo gospody lśniące żółtym lakierem na ścianach już nie wystarczają. Jarosław jest ponadto miastem leżącym na turystycznych szlakach...

**Prowincjo drzemiąca na ławkach na dworcu autobusowym — odejdziesz bezpowrotnie; i wierz mi, prowincjo buńczuczna, piwno-jarzębiakowa, odejdziesz i nikt cię nie będzie żałował. Obyś odeszła i z innych miasteczek Rzeszowszczyzny. Jak najszybciej.**

Autorem wiersza wykorzystanego w tekście jest pracownica ZPDz. „JARLAN", KRYSTYNA RAJTAR. Wykorzystano również materiały z „Echa Krakowa", „Nowin Rzeszowskich" oraz jednodniówki wydanej przez ZPDz. „JARLAN" pt. „Jarlanka".

**ANDRZEJ GRUN**

## Dalszy ciąg ze str. 1

**Głowa** pokryta siwizną nie jest tu bynajmniej rzadkością, a całe gałęzie przemysłu pracują nad zapewnieniem campingowemu turyście maksimum wygód i udogodnień.

Tegoroczny przegląd campingów jugosłowiańskich, włoskich, austriackich i szwajcarskich nasunął mi szereg obserwacji i refleksji, którymi pragnę się tu podzielić z Czytelnikiem. Zacznę od tego, że można moim zdaniem, wyodrębnić trzy rodzaje użytkowników campingu.

Przede wszystkim wymieniłbym tych, którzy turystykę namiotową uprawiają zgodnie z jej sportowym duchem i tradycją. Przeważa tu młodzież, ale nie ma ona wyłączności. Są i ludzie starsi, którzy zasmakowali w surowym obozowym życiu i uprawiają je con amore, nie tęskniąc bynajmniej za luksusowymi hotelami.

Druga grupa campingowiczów to ludzie, którzy tę formę podróżowania przyjęli raczej z konieczności, nie dysponując dostatecznymi środkami materialnymi, by ryzykować wynajęcie noclegu pod dachem. Opłaty campingowe są różne, uzależnione od atrakcyjności położenia i od zakresu usług oferowanych przez dany camping. Chodzi tu o takie świadczenia, jak kanalizacja, woda bieżąca, prysznice, kontakty do elektrycznych golarek, woda ciepła za dodatkową opłatą lub bez, sklep samoobsługowy, bar, czasem kuchenki gazowe lub elektryczne, automaty pralnicze itp.

Na ogół płaci się określoną stawkę dzienną za każdą osobę, a czasem dodatkowo za prawo postawienia namiotu i za parkowanie samochodu. Tak na przykład na campingu rzymskim na wzgórzu Monte Antene pobyt trzech osób kosztuje w tym roku 1200 lirów (ponad 2 dolary) dziennie, w Prato pod Florencją — 1900 lirów (wprawdzie camping luksusowy, z własnym basenem kąpielowym), a na campingu West w Wiedniu — 40 szylingów (ok. 2,5 dolara).

Nie są to z naszego punktu widzenia opłaty bagatelne, ale można stwierdzić, że najskromniejszy nocleg pod dachem we włoskim albergo (mały hotelik, zajazd) lub w austriackim Fremdenzimmer (pokój gościnny) kosztuje co najmniej czterokrotnie więcej. Kogo więc nie stać na taki wydatek, ten chcąc nie chcąc lokuje się na campingu, gdzie w przeciwieństwie do hoteliku ma szanse gotowania sobie posiłków, co stanowi dodatkową oszczędność.

Jest jednak i trzeci typ campingowicza, mający z dwoma poprzednimi mało wspólnego. Przyczyny pojawienia się go na campingach szukałbym w

# EUROPA CAMPINGOWA

swoistym snobizmie. Wspaniały sprzęt turystyczny, z jakim przybywa, każe z jednej strony z góry odrzucić myśl, że kieruje się on względami oszczędnościowymi, a z drugiej — że chodzi mu o sportowe, spartańskie obcowanie z naturą.

Taki snob campingowy wyposażony jest albo w namiot bliski rozmiarami namiotowi wielkiego wezyra Kara Mustafy, albo w skrzyżowanie namiotu z potężną przyczepą. W tym drugim przypadku namiot stanowi część jadalną i salon, a zespolona z nim przyczepa zwana karawanem — sypialnię.

Snob przywozi ze sobą bogaty komplet różnorodnych lekkich mebli składanych, lampy stojące i wiszące, telewizory i radioodbiorniki tranzystorowe, barki przenośne obficie zaopatrzone i stale uzupełniane, lodówki, zlewozmywaki, pralki, całe serwisy naczyń stołowych i kuchennych, różnego formatu kieliszki, shakery, rożna elektryczne lub na węgiel drzewny itp., itp.

Każdy posiłek jest tu istną orgią, niczym uczta Trimalchiona. Do zmywania odnosi się plastykowe wanny wypełnione naczyniami. Wieczorem namiot przeobraża się w klub bridżowy.

W ten sposób snob zamienia camping w jego przeciwieństwo, w luksusowy hotel, w swoje małe królestwo ociekające zamożnością i zadowoleniem z siebie. Współczesna technika pozwala mu przebywać na łonie natury przy jednoczesnym całkowitym eliminowaniu niewygód i wyrzeczeń. Może więc uprawiać co rano przed namiotem umiarkowaną gimnastykę i dać się przy tym fotografować rodzinie. Barwne slide'y będą dowodem, jak to on sportowo spędzał urlop.

Nie muszę dodawać, że opisana wyżej forma campingowania jest wynaturzeniem samej idei campingu, swoistą jej karykaturą. Prym w tym wiodą niewątpliwie Niemcy z NRF, a zaraz po nich postępują chyba Włosi, wypełniający wraz z wożonym przez siebie bogactwem, przyczepami i łodziami motorowymi campingi jugosłowiańskie, zwłaszcza wzdłuż wybrzeża Istrii.

Wszystkie trzy typy campingowania występują równolegle obok siebie i sobie nie przeszkadzają. Na campingu namioty-pałace sąsiadują ze skromnymi „dwójkami", do których wchodzi się na czworakach. Istnieje tu nie pisane prawo, że sąsiedzi się sobą nawzajem dyskretnie nie interesują, co najwyżej pozdrawiają się przy rannym spotkaniu. Dzięki temu turysta dysponujący ubogim wyposażeniem nie musi mieć kompleksów, choć czasem zdarzy mu się zerknąć z zazdrością na wygodne bytowanie innych.

Napisałem, że sąsiedzi nie poświęcają sobie nawzajem uwagi. Rzecz zmienia się diametralnie, gdy ktoś zwróci się do sąsiada o pomoc w jakiejś drobnej, praktycznej sprawie. O pożyczenie młotka do wbijania śledzi, pompki do materaców, mapy, czy czegoś w tym rodzaju. Wówczas działać zaczyna drugie nie pisane prawo campingu. Tu się pomocy nie tylko nie odmawia, ale świadczy się ją z maksimum gorliwości i dobrej woli. Te przejawy solidarności bywają bardzo miłe, nawet wtedy, gdy sąsiedzi mówią innymi językami i z trudem mogą się porozumieć.

Prawo dyskrecji i prawo pomocy kształtuje stosunki na campingu, który w niektórych przypadkach mieści w sobie po kilka, a nawet kilkanaście tysięcy dusz. Administracja obozu stara się nie ingerować w jego życie wewnętrzne, śląc tylko sprzątaczy i hydraulików. W zasadzie podporządkowuje się również prawu dyskrecji (choć np. na campingu w Rzymie jest stały posterunek karabinierów).

Setki campingów — miasteczek namiotowych podobnych do siebie niezależnie czy to będzie Lucerna, Graz, czy Mediolan, wyalienowanych w pewnym sensie z otoczenia i żyjących własnym rytmem — pokrywa Europę dość gęstą już siecią, gęstniejącą oczywiście tam, gdzie skupione są zabytki historyczne lub gdzie szczególne uroki oferuje krajobraz. Te małe społeczności, nietrwałe twory wymieniające permanentnie swój skład osobowy, a przecież zachowujące pewną ciągłość, zasługiwałyby chyba na socjologiczną analizę. Tym bardziej, że choć my w kraju mało jeszcze mamy campingów z prawdziwego zdarzenia, to przecież liczba ich w przyszłości będzie dynamicznie rosła.

**WŁADYSŁAW ORŁOWSKI**

---

lian czyli zjazd koleżeński", potem „Szkoła dwóch dziewcząt". Będę też pisał o Łodzi lat pięćdziesiątych. I też będzie to księga umarłych — przypomnienie i ocalenie pamięci ludzi, którym grozi niepamięć...

*„ODGŁOSY": Odnoszę jednak wrażenie, że najwięcej czasu poświęca Pan swojej pracy przekładowej. Po prostu sądząc po efektach...*

**Tadeusz Chróścielewski:** To prawda. Na moim regale stoi 51 książek, w których w mniejszym lub większym stopniu zaznaczyłem swoją obecność jako tłumacz. W niedługim czasie ta liczba zwiększy się o następne pozycje. Ukazał się właśnie tom poezji Grigorija Pietnikowa pod moją redakcją i z obszernym esejem o tym poecie rosyjskim polskiego pochodzenia. Moje przekłady wchodzą w skład antologii poezji łotewskiej, wydanej przez PIW, tłumaczyłem też wiersze do antologii poezji litewskiej PIW-u. W Ludowej Spółdzielni Wydawniczej — tom poezji Tarasa Szewczenki, także z moimi przekładami... W druku — wiersze w antologii poezji gruzińskiej (PIW), dalej przekłady w antologii poezji macedońskiej (Wyd. Literackie), dalej przekłady poezji słoweńskiej dla antologii „Ossolineum"... Aktualnie praca nad tomem poezji Azerbejdżanu dla Wyd. Łódzkiego (wspólnie z Igorem Sikiryckim)... No i wreszcie tłumaczenia wierszy Batiuszkina, Karamzina i Aleksego Tołstoja, Kuchelbeckera i Delwiga do ogromnej trzytomowej antologii poezji rosyjskiej... To zresztą nie koniec, bowiem zaczynam moją bodaj najtrudniejszą przygodę przekładowa — tłumaczenie poematu Aleksandra Ostrowskiego „Ojczyzna mrówki". Jest to utwór pisany jambem — właściwie na granicy nieprzekładalności, oparty na idiomach, pełen finezyjnej gry słów...

Jako tłumacz miałem dwa marzenia. Jedno już zrealizowałem — jest to tom wierszy Pietnikowa, wydany w WŁ pod moją redakcją. Drugie marzenie — to przekłady Asiejewa, znakomitego poety radzieckiego, którego w swoim czasie ceniono na równi z Majakowskim, a potem niesłusznie zapomniano. Po prostu — za długo żył. Gorzkie to, lecz prawdziwe.

*„ODGŁOSY": Nawiązując do „Ojczyzny mrówki" ... Przekład poezji to mrówcza praca, także w wypadku utworów znacznie prostszych niż poemat Ostrowskiego...*

**Tadeusz Chróścielewski.** W pracy przekładowej trzeba posiąść sztukę nieistnienia. Wypożyczam pióro autorowi, który nie zna polskiego. Muszę zapomnieć, że wiem nieraz więcej niż autor. Muszę „wejść" w jego epokę, i estetykę jego epoki. Puszkin był bez wątpienia wielkim poetą, ale narzędzie poetyckie, czyli poetykę, sposób obrazowania miał 150 lat starsze niż te, którymi dysponuje współczesny poeta. Trzeba więc używać jego poetyki, jego poetyckich narzędzi. Nie można postępować tak jak ów tłumacz Lermontowa, który, znużony prostotą wiersza, pisze w pewnym miejscu „dysk słońca". To zupełnie z innej poetyki. Albo ktoś inny, tłumacząc prosty wiersz Szewczenki, daje raptem słowo „płaskoskrzydłe". To też z innej poetyki. Młodopolski poeta Antoni Lange tłumaczył na przykład staroindyjskie poematy, a także Baudelaire'a, a także Goethego... Wszystkie te przekłady podobne były do siebie — a najbardziej podobne do oryginalnej poezji Langego.

Uważam, że tak nie można. Chodzi mi o to, aby czytelnik mógł widzieć różnice między przekładanymi poetami. Ale tłumacz ma przecież swoją wrażliwość, sposób kojarzenia, ulubione słowa, barwy — jest niewolnikiem swojej wrażliwości... Tak więc „oddanie pióra" jest możliwe tylko do pewnego stopnia.

*„ODGŁOSY": Czy istnieją utwory nieprzetłumaczalne?*

**Tadeusz Chróścielewski:** Kongenialnych przekładów chyba w ogóle nie ma. Poważny kłopot jest natomiast wówczas, gdy zupełny brak odpowiedników, punktów odniesienia oryginału do naszej literatury. Szewczenkę tłumaczyć stosunkowo łatwo, bo Polacy są raczej osłuchani w dumkach, można więc przenieść te wiersze na polski grunt i niewiele uronić. Ale np. „Słowo o pułku Igora"? Tu już zupełny brak odpowiedników — i tłumaczenie Tuwima jest raczej trawestacją niż przekładem. Podobnie zresztą Rosjanie nie mogą przekładać naszego Kochanowskiego, bo u nich z kolei brak odpowiedników, europejska literatura bowiem zaczyna się w Rosji od klasycyzmu.

*„ODGŁOSY": O ile wiem, to te trzy działy — poezja, proza, przekład — nie wyczerpują Pana działalności pisarskiej.*

**Tadeusz Chróścielewski:** Istotnie. Jestem niewyżytym naukowcem — porzuciłem karierę naukową, wracam jednak często do eseju... Stąd właśnie owa, pierwsza w Polsce — rozprawa o Pietnikowie, stąd te szkice o dawnej poezji Łodzi...

*„ODGŁOSY": Aby prowadzić tak rozległą pracę pisarską, trzeba zapewne wiele wyrzeczeń, uporu i talentu. Z satysfakcją więc przyjęliśmy fakt uznania Pańskiego trudu w formie nagrody WRN. Serdecznie Panu gratulujemy w imieniu Czytelników „Odgłosów".*

**Rozmawiał:**

**JERZY WILMAŃSKI**

N. ŁABKOWSKI

# ZIELONY KARNAWAŁ

OPOWIADANIE

Borys wyszedł z pokoju na taras. W dole, u podnóża urwistej, prawie pionowej skały błyszczał pachnący, subtropikalny park. Nawet wojna nie była w stanie odebrać mu urody i zapachu.

Pół godziny temu Borys przyjechał tutaj okazyjnym autokarem. Skrzypiące pudło z otwartym dachem odbywające niegdyś regularne turystyczne rejsy wzdłuż nadbrzeża, kursowało teraz „wyjątkowo", a te wyjątki zdarzały się coraz rzadziej.

— Macie szczęście — powiedział Borysowi instruktor komitetu partyjnego w Suchumi — dziś właśnie kierujemy do Gagrów frontową brygadę artystyczną. Mogą was podrzucić.

— Ale miałeś, chłopie, szczęście — mówili koledzy w redakcji. — Coś takiego! Cały świat walczy! Wszędzie piekło! A ten dostał skierowanie do raju!

Brygada frontowa składała się z jeszcze zupełnie młodziutkich artystów. Zielona młodzież, naiwni jak króliki. Nikt z nich nawet nie wąchał prochu. W autobusie zachowywali się jak turyści przed wycieczką do egzotycznych krajów.

Silnik dyszał ciężko, z wysiłkiem. Autobus zagłębiał się w górach. Już zmierzchało, gdy ukazały się pierwsze zabudowania byłego kurortu. Wszyscy odetchnęli z ulgą, jak gdyby mury ciemnych, wymarłych domów stanowiły dostateczną ochronę przed atakiem z powietrza.

Autobus wspinał się po stromych uliczkach, aż zamarł przed szarym budynkiem z szerokimi oknami, mrocznymi jak skalne przepaście.

— Koniec jazdy! — zawołał kierowca, wyłażąc zza kierownicy i wyprostowując zbolałe ciało. — Hotel „Orianda". Przed wojną — sanatorium.

Borys spojrzał na zegarek. Do rozpoczęcia koncertu zostało jeszcze prawie dwie godziny. „Swoje sprawy" mógł załatwić dopiero jutro rano. Powoli szedł po krętej ścieżce, aż znów znalazł się przed hotelem. Po omacku doszedł do trzeciego piętra i machinalnie skręcił na schody wiodące wyżej. Piąte piętro! Ostatnie. Ale schody pięły się dalej w górę. Stopnie były teraz drewniane, skrzypiące, lekko uginające się pod butami. Nagle wyrosły przed nim drzwi. Pchnął je. Ustąpiły z przeraźliwym zgrzytem. Poczuł ciepły zapach kurzu. W dymnikach nie było szyb i sączyły jeszcze blade światło gasnącego nieba.

Artyści pośpiesznie chwycili za walizy i nesesery. Borys wysiadł ostatni. W hallu oświetlonym jedną grubą świecą siedział znudzony portier.

Z przyzwyczajenia szybko ustawiono się w kolejce do jego kantorku. Zaskoczył ich jednak.

— Proszę państwa! — powiedział unosząc świecę wysoko nad głową, by lepiej przyjrzeć się nieoczekiwanym gościom. — Proszę państwa, nie macie na co czekać! Przejdźcie sobie po piętrach, wybierzcie pokoje według gustu. Wszystkie są wolne, klucze znajdziecie w drzwiach.

Zamiast kluczy dał każdemu po jednej malutkiej świeczce.

Długo łazili po pustych korytarzach, odbijających echo ich kroków i głosów. Cienie pełgały po ścianach, a oni mieli wrażenie, że grają w sztuce z udziałem widm.

Borys wyszedł na taras. Przed wojną był już tu kilka razy i chciał zobaczyć, jakie zmiany narzuciła temu miasteczku wojna.

W Suchumi słyszał, jak mówili, że w Gagrach wszystkie domy zmieniono na lazarety, że wszędzie pełno rannych, że cały brzeg najeżony jest lufami dział, skierowanymi ku morzu. Z morza mógł przyjść atak.

Natarcie z morza stało się już faktem. Sewastopol — ostatni bastion floty czarnomorskiej — padł. Sztab przeniósł się do Soczi. A to było już niedaleko stąd. Dalej na prawo zaczyna się strefa okupowana. W Noworosyjsku byli Niemcy, całe Morze Azowskie było niemieckie.

Na korytarzu pojawił się administrator grupy koncertowej, z obowiązku będący również kierownikiem artystycznym i kasjerem. Położył na stole teczkę, wyciągnął z niej listy płac, paczki pieniędzy i miał zamiar przystąpić do wykonywania najważniejszego, jego zdaniem, obowiązku. Lecz zwykła w takich razach kolejka nie utworzyła się. Nikt nie śpieszył się z otrzymaniem honorarium. Przejeżdżając stromymi uliczkami miasteczka artyści od razu zauważyli, że ani jeden sklepik nie jest otwarty. Suchą kolację każdy miał w torbie. Obiad — zrozumieli to od razu — będzie dopiero jutro, najpewniej w jakimś szpitalu.

Administrator poczekał chwilę, potem schował pieniądze i papiery i wcielił się w kierownika artystycznego.

— Proszę państwa! Koledzy! — wołał, chodząc po korytarzu i klaskał w dłonie. — Proszę wszystkich do mnie! Proszę szybciej!

Ze wszystkich pokojów wychyliły się głowy.

Administrator gestem głównodowodzącego wyjął z kieszonki spodni duży, masywny zegarek.

— Koledzy! Proszę sprawdzić zegarki! — zawołał. — Teraz według „Henryka Mozera i Synów" jest dokładnie 18,53. Koncert rozpocznie się o 21 w lazarecie na głównej ulicy. Przyjedzie po nas autobus. Audytorium stanowią ranni, w większości marynarze i oficerowie. Dowództwo prosi, żeby koncert był możliwie wesoły. Dla poprawienia humorów. Zbiórkę wyznaczam — administrator spojrzał na zegarek — punktualnie o 20,30. Do tego czasu każdy z was jest wolny i może zająć się swoimi sprawami...

Ostrożnie stąpając Borys wszedł na strych. Oczy przyzwyczaiły się już do półmroku, zobaczył więc szereg otwartych skrzyń z dykty i leżące koło nich białe papierowe torebki. Schylił się, sięgnął po jedną z torebek. Uniesiona pękła od dołu i wysypały się z niej malutkie różnokolorowe krążki. Podniósł garstkę. Confetti! Nieco dalej leżały rzucone byle jak maski. Tradycyjne pyski wszystkich karnawałów: zające, lwy, wilki, rogate potwory. Zajrzał do skrzyń. Czegóż tam nie było! Tekturowe zbroje rycerzy, średniowieczne żaboty z papieru, korony, trójzęby, brody, peruki i wąsy z lipowego łyka. Karnawałowe skarby złożone byle jak, ale jeszcze nadające się do użytku. Skąd to wszystko się tu znalazło?

Borys popędził w dół. W hallu blask świecy pląsał na głowie drzemiącego portiera. Wyrwany ze swoich snów nie mógł od razu zrozumieć, o co Borysowi chodzi. W końcu oprzytomniał i smętny uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Ach, tam na strychu? Zanieśliśmy to w ów pamiętny dzień. W jaki dzień? Zaraz pan zrozumie. — Zaczął grzebać w szufladzie i wyjął ze spodu złożoną kilkakroć ogromną płachtę afisza. Rozłożył go na podłodze.

— Niech pan przeczyta. To miało być właśnie w ten dzień.

— Rok czterdziesty pierwszy — domyślił się Borys.

**Niedziela**
**22 czerwca**

**Sanatorium**
**„Orianda"**

**ZIELONY KARNAWAŁ**

**O szóstej wieczorem w naszym sanatorium rozpocznie się karnawał**

**POŻEGNANIE NAJDŁUŻSZEGO DNIA ROKU**

**Confetti, serpentyna, sztuczne ognie,**
**występy stołecznych artystów.**

**DANCING DO ŚWITU!!!**

**Maski i kostiumy karnawałowe nabywać można od godz. 12**
**Goście bez masek niemile widziani.**

**BUFETY OBFICIE ZAOPATRZONE!!!**

— Niestety — kiwnął głową portier.

— Zamiast zabawy — wojna?

— To było okropne! Od samego rana na dworcu działy się straszne rzeczy. Na każdy pociąg nacierały tłumy rozhisteryzowanych, bezradnych urlopowiczów...

— Przepraszam, że ośmielam się... ale czy nie mógłby pan dać mi tego afisza?

— Niech pan bierze. Tam na strychu pewnie jeszcze dużo ich leży.

— A maski, kostiumy? — z nadzieją zapytał Borys.

— Mnie osobiście na diabła one! Co ja, bawić się jeszcze będę? W moim wieku? Komu zresztą zabawa w głowie, gdy ma front przed nosem.

Borys co tchu pobiegł na trzecie piętro. Przypomniał sobie, w jaki sposób administrator zwoływał grupę i tak samo klaszcząc w dłonie poszedł korytarzem.

— Koledzy! Koledzy! Proszę natychmiast do mnie!

Z pokojów wyjrzały przestraszone postacie...

...Wojskowy autobus przywiózł do lazaretu przy głównej ulicy dwa lwy, dwa zające, jednego wilka, jednego Don Kichota, jednego rycerza i kilka postaci kombinowanych — różnych epok i stanów.

Role omówiono w czasie jazdy. Borys wziął na siebie obowiązki reżysera.

— Moi drodzy! — zwrócił się do artystów. — Wszyscy uczyliście się w szkołach teatralnych. Na pewno nie wszystkim podoba się teoria Stanisławskiego, ale nieraz kazano wam grać w etiudach według jego systemu. Umiecie to robić. Dziś musicie zagrać w etiudzie pod hasłem — karnawał. Śpiewajcie, tańczcie, inscenizujcie sytuacje karnawałowe różne qui pro quo, możecie nawet na głowie chodzić i robić salto mortale, ale musi być śmiesznie i wesoło. Tak wesoło i śmiesznie, jak jeszcze ani wam, ani tym rannym, do których jedziemy — nie było nigdy. Gracie dla ludzi, którzy otarli się o śmierć i odłamek jej został w ich ciele. Musicie dać im trochę beztroskiej radości. Wyobraźcie sobie, że bierzecie udział w karnawale, który Hitler udaremnił dwudziestego drugiego czerwca rok temu.

Było to najweselsze przedstawienie, jakie Borys widział kiedykolwiek.

Na początku konferansjer odczytał treść afisza i podkreślił, że niemile widziani będą goście bez masek. Artyści wręczyli każdemu maskę. Właściwy koncert jeszcze się nie rozpoczął, a po salach już przetoczyła się salwa głośnego śmiechu. Wszyscy stali się uczestnikami tej zabawy, chórem podchwytywali refreny piosenek, oklaskami wybijali rytm tańców, rzucali celne repliki wykonawcom satyrycznych scenek i skeczów. Iluzjonista wyciągał z uszu, rękawów i kieszeni widzów kolorowe wstęgi serpentyny i czarodziejskim gestem zamieniał je w deszcz confetti. Później przykrył białym fartuchem lekarskim ładniutką pielęgniarkę, a gdy uniósł go do góry, to wyłoniła się spod niego najbardziej popularna w lazarecie osoba — kucharka Dusia, sto kilogramów żywej wagi.

Nagle wszystko to w jednej sekundzie zamarło. Budynkiem wstrząsnął wybuch. Gdzieś blisko upadła bomba. Z niektórych okien z brzękiem posypało się szkło. Jeszcze jeden wybuch — tym razem w morzu. Długo słychać było szum wzburzonej wody. Zawyły syreny, zatrajkotały szybkostrzelne baterie p. lotnicze.

— Zgasić światło! — rozległa się komenda dowódcy lazaretu. Sala pogrążyła się w ciemnościach.

— Towarzysze! — Borys zdziwił się, jak donośnie zabrzmiał jego głos. — Raz już hitlerowcy udaremnili tutaj zabawę, 22 czerwca, w tamtym roku. Czy dziś znów pozwolimy im odebrać sobie rzadkie chwile radości i wesela? Sala milczała.

— Zwracam się do dowództwa lazaretu.

— Słucham was — dał się słyszeć głos w ciemności.

— Proszę pozwolić artystom na kontynuowanie przedstawienia. Morze fosforyzuje. Jeśli rozsuniemy zasłony, to oczy szybko przyzwyczają się do mroku. Myślę, że artyści zgodzą się grać bez światła.

— Oczywiście! Chętnie! — rozległy się głosy młodych wykonawców.

— Zgadzam się! — powiedział dowódca.

— Drodzy słuchacze! — zwrócił się Borys do ciemnej sali. — Pozwólcie, że jako pierwszy wystąpię w drugiej części naszego karnawałowego koncertu. Przeczytam wam opowiadanie, którego jeszcze nie napisałem, ale które na pewno zostanie napisane, jeśli dane mi będzie przeżyć tę wojnę. Poproszę harmonistę o walca. Dziękuję... Proszę wszystkich, którzy mogą tańczyć o zaproszenie do walca naszych pań — lekarki i pielęgniarki...

W półmroku zawirowało kilka par. Słychać było ciche szuranie butów po parkiecie. Borys zaczął mówić:

— Zdarzyło się to w pierwszą rocznicę wybuchu wojny.

W nadmorskim sanatorium zamienionym na przyfrontowy lazaret, przy akompaniamencie dział p. lotniczych i wybuchów bomb odbył się wesoły zielony karnawał...

**Przełożyła: SABINA NOWICKA-KOCZNOW**

**N. ŁABKOWSKI — radziecki pisarz i dziennikarz bardzo się zasłużył polskiej literaturze jako tłumacz satyry. Wydał w Związku Radzieckim 13 przekładowych książek, m.in. opracował antologię polskiej fraszki.**

**Opowiadanie „Letni karnawał" oparte jest na autobiograficznych przeżyciach Łabkowskiego, który w czasie wojny był korespondentem frontowym pisma „Literatura i sztuka".**

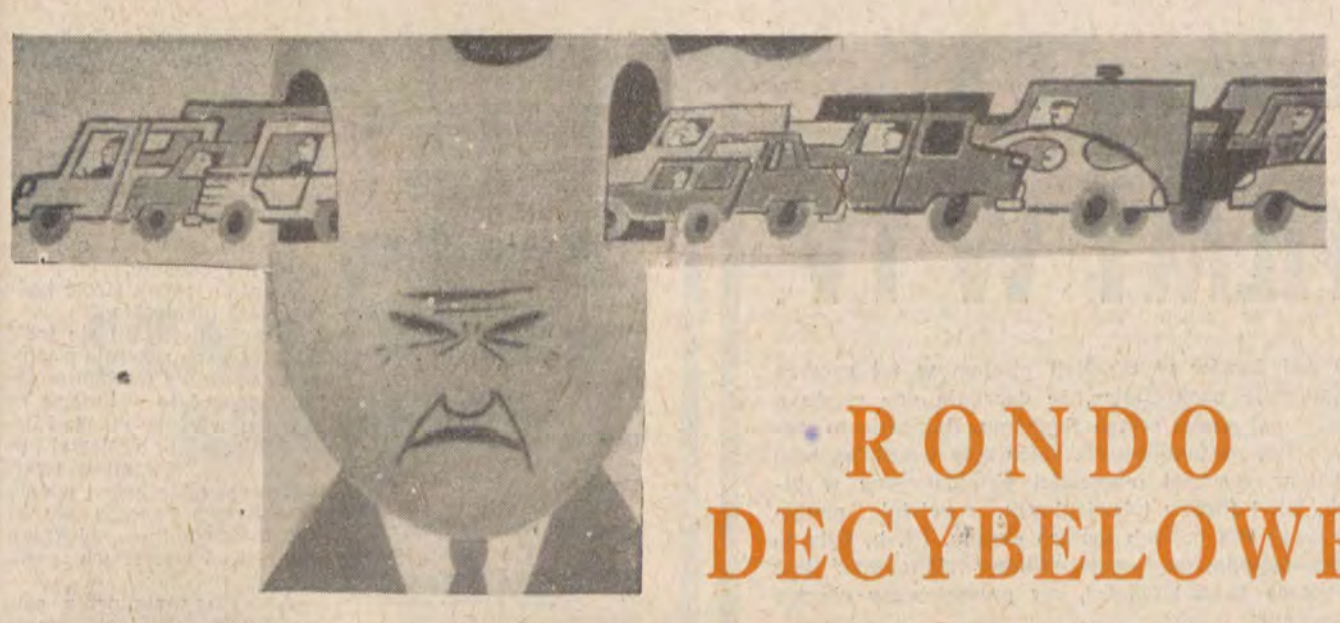

# RONDO DECYBELOWE

Warknął dzwonek, rozwarły się drzwi i do przedpokoju wtargnął sąsiad z dołu w granatowych gatkach. Omiatając mnie laserowym wzrokiem zadudnił:

– Zrób pan coś do cholery z tymi dziećmi.

Stanąłem oniemiały, skruszony. Bo też dzieci (w wieku przedszkolnym) bawiły się klockami i kilkakroć przebiegły swawolnie przez pokój. Wprawdzie w papuciach i po dywanie, ale zawsze...

Ośmielony moim milczeniem sąsiad z dołu zaczął mnie głośno pomawiać o złośliwe puszczanie radia, i to na cały regulator, już od szóstej rano w niedzielę. Bąknąłem usprawiedliwiająco, że to pewnie ten z czwartego piętra tak gra, na co sąsiad w gatkach odpalił:

– Musi pan wiedzieć, że to jest blok, proszę pana, tu wszystko słychać! W związku z tym każdemu należy zwracać uwagę. Tylko w ten sposób możemy zachować ciszę.

Następnie już nieco cichszym głosem przeprosił mnie i poszedł s bie. Zrobił to tak zybko, że nie dążyłem otworzyć ust, aby coś powiedzieć. Że np. nie zamierzam powyrzynać dzieci i że też mieszkałem w bloku, gdzie o każdej porze dnia sąsiad z góry wycinał na harmonii szlagiery i kawałki „z brodą". Więc kto kogo ma uczyć, skoro on, właściciel granatowych dynamówek, mieszkał dotąd w domku jednorodzinnym, który wyburzono?

Jednakże zmilczałem wszystko, ponieważ z natury jestem nieśmiały, a tak szczerze, to przestraszyłem się sąsiada, bo chłop jest mocnej, kanciastej postury.

A on czuwał. Kiedy sąsiadka z góry odprowadzała koleżanki, prowadząc z nimi ożywioną rozmowę, sąsiad wypadł zza drzwi i przytrzymując gumę od gatek, wrzasnął, aż zagrały ustycznie schody:

– To jest blok, nie obora! Samo chamstwo i bydło, psiakrew!

Sąsiadka nie wytrzymała i oznajmiła, że on jest nierogacizną w galotach. Więc sąsiad się zemścił. Miast wstrzelić kołki z pistoletu, sprowadził diabelską maszynę, czyli elektryczną wiertarkę, i przez trzy dni wiercił w ścianach otwory. Decybele tłukły się od piwnic po dach, drżały szyby i sypał się gęsto tynk...

Nauczony tymi przykrymi doświadczeniami, wcale się nie zdziwiłem, kiedy polecono mi zająć się ponownie oklepanym tematem, jakim jest inwazja decybeli.

Jak wynika z wyżej przytoczonych faktów, hałasem zatruwamy serdecznie, po sąsiedzku. W myśl bajeczki o Pawle i Gawle.

Kiedy sąsiad kupi nową płytę, pragnie się nią pochwalić przed wspołkatorami. Podobnie myśli drugi i trzeci, przeto brzmi potężnie pojedynek decybeli na adaptery. I na telewizory.

A jeszcze groźniejsze bywają pojedynki grup wyjców, kontrujących się ludowo podczas chrzcin, wesel, imienin! Przyłączają się do nich hobbyści, czyli domorośli szewcy, stolarze, ślusarze, którzy walą młotkami, rżną deski i piłują blachę oraz „higieniści", puszczający o północy strugi wody do wanien...

Z tego domowego piekła wychodzimy na tzw. świeże powietrze, gdzie wita nas jazgotliwa dysharmonia wszędobylskich decybeli. Już od świtu chrzęszczą druciane transportery z butelkami mleka; wyją młyny śmieciarek, w których trzeszczą mielone gnaty, szkło i pudełka od konserw.

Decybele są wszędzie! Kiedyś przy sklepie wędliniarskim na ul. A. Struga poturbowałem kobietę w średnim wieku, gdyż wpadłem na nią przerażony potwornym hukiem. Sądziłem, że zderzyły się dwa „Stary", a to tylko ludzie w wyświechtanych fartuchach rzucali na kupę blaszane pojemniki na mięso. Tak, dwa kościotrupy w blaszanej trumnie to wcale nie szczyt hałasu.

Ale tym „szczytem" może być dla Łodzi prac Niepodległości. Gdyby nie rozległy teren, już dawno runąłby w gruzy DH „Uniwersal". Bo od hali targowej leci wycie „małych Władków" z pocztówek dźwiękowych u jarmarcznych handlarzy oraz jazgot przekupek. Warczą samochody i przynajmniej co 30 sekund zgrzytają, hamując lub ruszając, tramwaje na licznych zwrotnicach. Na dobitkę skrzeczy zachrypły megafon i terkoce dzwonek, które, miast regulować odjazdy, wprowadzają jeszcze więcej zamieszania. Za poczekalnią MPK co dwie minuty (i częściej) hamują i startują autobusy, głównie linii „57". Niektóre wozy stoją po 5 minut, lecz kierowcy nie wyłączają silników. Czerwone pudło trzęsie się, grzechocą obluzowane rurki i tabliczki informacyjne, kłębi się smród spalin.

– Przesada. Ostatecznie można uciec do parku – oponuje jeden z moich znajomych.

Można, oczywiście, tylko, że z łódzkich parków przepłoszono już wszystkie ptaki. Tutaj co krok napotykasz na kolorowego młodziana, który jedną ręką ściska za kark dziewczynę, w drugiej zaś dzierży przepisowo wrzeszczący tranzystor...

Drugi znajomek zaś powiedział, że w centrum miasta to jest wszystko normalne, ale żeby na peryferiach doprowadzać ludzi do szału, to już karygodne! Ponieważ nie wierzyłem, zawiózł mnie na ulicę Konstytucyjną 9 i postawił na balkonie, na czwartym piętrze. Widok był przepiękny, zielone łąki, drzewka, prawie wieś. To tzw. strefa ochronna. Żeby w tej strefie nie było zbyt cicho, od godz. 6 rano ulicą przewalają się małe i wielkie traktory, ciągnąc jednakowe tłumki: pojemniki z dymiącą smołą. Ciągniki pracują tak ciężko, że drżą szyby nawet na ósmym piętrze. Nasilenie decybeli odpowiednio wzrasta, kiedy kierowcy zatankują w narożnym sklepie monopolowym.

Na domiar złego tuż przed wieżowcem usytuowano przystanek autobusowy „58". Hamowanie i starty, zgrzyty, wycie silnika. Tylko po co, skoro w tym miejscu wsiada lub wysiada 1 lub 2 pasażerów? Autobus mógłby pojechać prosto, krótszą drogą do miasta, ale sąsiednia ulica, obstawiona willami, jakoś wybroniła się przed dobrodziejstwem masowego środka lokomocji.

Kiedy piszę te słowa, pod sąsiednim blokiem entuzjasta dwóch kółek naprawia sfatygowanego „Junaka". Zdaje się, że coś tam nie gra w gaźniku, mucha wpadła albo inny fafel. Ale silnik gra! Mucha pewnie wyleciała z gaźnika, bo wznosi się jęk jak przy starcie „Biesa" co najmniej. A na górze u sąsiadki zawodzi, równie wysoko, wyrwany ze snu dzieciak.

Gdyby ten od „Junaka" wiedział, co ja tutaj wypisuję, powiedziałby pewnie, że Gontal jest zwariowany atramenciarz, Ameryki nie odkrywa, niepotrzebnie się szarpie i truje, truje do oporu. I chyba miałby rację, bo nie było moim zamiarem pisać rozprawy naukowej na temat ochrony naturalnego środowiska, gdyż zdawałem sobie sprawę, że się powtarzam. A powtórki tematyczne w prasie i ciągłe stykanie się z hałasem rodzą znieczulicę. Tak już jest, kiedy działa na nas wciąż ten sam bodziec.

Wyznaję więc ze skruchą, że głoszone w felietonie prawdy oczywiste powtarzam ze wstydem, myślę jednak, że potraktowane lekko trafią może do serca ludzi, którzy jeszcze nie popadli całkowicie w znieczulicę. Idzie mi o to, że jeśli już nie ma rady na tzw. „siły wyższe", to chociaż sami powinniśmy ukrócić to wzajemne, życzliwe i po sąsiedzku zatruwanie się decybelami. Zmiłujmy się nad naszymi zdezelowanymi organami słuchu i wypatroszonymi nerwami!

JAN GONTAL

Przed wojną i potem przez te długie mroczne lata mieszkałem w Warszawie, w Alejach Ujazdowskich. Dom był taki, jak wiele innych w Alejach, niczym specjalnym się nie wyróżniał; wydłużony prostokąt murów zamykał w środku obszerne, wyasfaltowane podwórze, z niewielkim ogrodzonym siatką dywanem trawy po środku. Rosła tam lipa. Stara. Starsza od samego domu — może przedtem rosła gdzi indziej. Może z jakiejś mazowieckiej wioski przywieźli ją i w środku miasta wkopali i kazali żyć na niewielkim spłachetku zieleni w asyście wyprostowanych na baczność murów, które wydawać się jej mogły wiecznotrwałe. Pewnie nie było jej w tym miejscu najlepiej, tęskniła może za wiatrem, za pszczołami rojącymi się pośród liści i kwiatów, za szczebiotem ptaków. Tu były jeno warszawskie wróble. Ale dbano o nią — w upalne dni dozorca zlewał ją strumieniem wody z hydrantu i zapewne z czasem, bo taka jest zwykle kolej rzeczy, przywykła do nowego.

Lipa kwitła. Kiedy kwitła, wypełniała podwórko aromatem swych kwiatów i wtedy wszystkie okna, od suteren po szóste piętro, były na oścież otwarte. I wszyscy za to jej pachnienie byli jej wdzięczni.

Wybuchło Powstanie, ale i wtedy dozorca lub jego gruba, gderliwa żona codziennie rano oblewali lipę i spłachetek trawy kaskadą wody z gumowego węża. Potem zabrakło wody, trzeba ją było nosić z drugiej strony ulicy przemykając się pod barykadą. Przestano dbać o trawę i o lipę, jak przestano dbać o wiele innych rzeczy, które stały się nieważne wobec tego, co stało się najważniejsze. Ale w przerwach między nalotami ludzie wychodzili ze schronów i patrzyli na lipę. A ona swą obecnością zdawała się przeczyć rzeczywistości.

W dom uderzyło parę pocisków, potem część domu rozwaliła bomba, część suteren spłonęła, a drzewo trwało pośród rumowiska dziwnym zrządzeniem losu — nienaruszone. Zaledwie kilka odłamków rozdarło mu korę, kilka zżółconych pożarem liści łamało jego zieleń. Drzewo trwało pośród gruzów, jak czarnoleski symbol. Jak wyzwanie. Lipa przetrwała Powstanie, palenie miasta. Ścięto ją później, podczas odgruzowywania. Zawadzała. Szkoda, bo było to piękne i mądre drzewo i... dzielne.

Pamiętam, stałem z ojcem w bramie. Na skos, przez podwórko przebiegał chłopak, może 14-letni. W zrzutowym battle-dresie, za dużym na niego — więc podwinął rękawy i nogawki spodni. Przy szerokim, czarnym, zdobycznym pasie dyndał granat — „cytrynka"; za wielki hełm spadał mu na oczy, więc podtrzymywał go ręką. Na ramieniu opaska biało-czerwona. Nagle pod lipą zatrzymał się w pół ruchu — śmieszna sylwetka z bufami zawiniętych rękawów i nogawek, z grzybem hełmu — chudymi, chłopięcymi ramionami objął pień drzewa i tak trwał przez chwilę jakby odpoczywał po długim, za długim biegu, a potem osunął się na kolana powoli, już bezwładny i u stóp lipy na resztce trawy został. Kiedy podbiegliśmy z ojcem, już nie żył. Najlepszym celem są te serca najdzielniejsze. Jakiś „gołębiarz", może zbłąkana kula...

Ojciec w parę dni potem przeczytał mi wiersz, który napisał. Nigdy nie pisał przedtem wierszy. Ale w tamtych dniach wielu ludzi robiło to, czego nie robili nigdy przedtem: łagodni — za-

Dalszy ciąg na str. 10

**Rozwijające się stosunki handlowe między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim oraz innymi krajami naszego obozu, znajdują się w centrum zainteresowania kół gospodarczych USA. Ostatnio, głos na ten temat zabrał przedstawiciel wielkiego biznesu amerykańskiego – David Rockefeller, udzielając wywiadu pismu „US News and World Report".**

# ROCKEFELLER O HANDLU WSCHÓD - ZACHÓD

**Pytanie:** Panie Rockefeller, jakie możliwości otwierają się przed Stanami Zjednoczonymi w dziedzinie umów handlowych z krajami komunistycznymi?

**Odpowiedź:** Potencjalnie — bardzo duże. Koniec końców, z punktu widzenia liczby mieszkańców i globalnej produkcji przemysłowej, kraje socjalistyczne zajmują ważne miejsce w świecie. Możemy mieć różne ideologie, a mimo to utrzymywać rozsądne stosunki ekonomiczne i polityczne.

**Pytanie:** Czy trzeba dużo czasu na poważne rozszerzenie handlu z tymi krajami?

**Odpowiedź:** Być może nastąpi to szybciej, niż sądziłem do momentu mojej podróży po tych krajach. Wierzę, że istnieje dążenie do zwiększenia obrotu handlowego i zdumiewa mnie gwałtowny wzrost handlu ze Związkiem Radzieckim, chociaż na razie nie udzieliliśmy mu „największego uprzywilejowania", z którego korzysta większość innych krajów.

**Pytanie:** Czym tłumaczy pan zainteresowanie Związku Radzieckiego handlem ze Stanami Zjednoczonymi?

**Odpowiedź:** Rosjanie przywiązują do handlu szczególnie duże znaczenie, są przekonani, iż jego rozwój przyniesie korzyści obu krajom. Jeszcze do niedawna Stany Zjednoczone sprzeciwiały się temu. Dopiero po inicjatywach prezydenta Nixona i generalnego sekretarza KC KPZR Leonida Breżniewa, a także premiera Aleksieja Kosygina, niektóre poważne przeszkody, stojące na drodze do rozwoju handlu zostały usunięte. Tym należy tłumaczyć ożywienie w tej dziedzinie.

**Pytanie:** Jakie transakcje interesują Rosjan najbardziej?

**Odpowiedź:** Rosjanie są żywo zainteresowani w długoterminowych kredytach, technice, chcą eksportować swoje towary do Stanów Zjednoczonych.

**Pytanie:** Jakie korzyści przyniesie to Stanom Zjednoczonym?

**Odpowiedź:** Związek Radziecki może dostarczać do Stanów Zjednoczonych przede wszystkim paliwo, którego niedobór zaczyna się w USA zaostrzać. Otwierają się coraz szersze perspektywy przed eksportem amerykańskiej produkcji przemysłowej, początkowo dla przemysłu radzieckiego, a następnie i dla konsumentów. Jeżeli teraz nie poczynimy kroków, żeby umocnić się na rynku radzieckim, kompanie przemysłowe innych krajów mogą na tym rynku ograniczyć szanse amerykańskich firm, na którym i tak wyraźnie kształtują się warunki, korzystne dla Zachodniej Europy.

**Pytanie:** Czy biznesmani mogą bez obawy nawiązywać stosunki handlowe z osobistościami urzędowymi w krajach komunistycznych?

**Odpowiedź:** Ludzie, którzy zawierali z krajami socjalistycznymi stałe porozumienia, są bardzo zadowoleni. Rosjanie wywiązywali się ze swych zobowiązań niezwykle sumiennie. Jeżeli pożyczali pieniądze, to terminowo spłacali długi, płacili procenty i tak dalej.

Jednakże należy mieć na względzie, że wiele będzie zależało od rozmów w sprawach obrony i bezpieczeństwa oraz od wykonania już podpisanych porozumień. Ja osobiście sądzę, że teraz prawdopodobieństwo konfliktu między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi jest o wiele mniejsze, niż przedtem. Dlatego właśnie handel jest pożytecznym dziełem, sprzyja rozszerzeniu kontaktów i rozładowaniu napięcia.

**Pytanie:** Czy rząd Stanów Zjednoczonych będzie musiał użyczać gwarancji na wszystkie pożyczki, udzielane krajom komunistycznym?

**Odpowiedź:** Nie. Nasz bank udzielił Rosjanom kredytu na budowę fabryki samochodów na Kamie bez gwarancji rządu USA. Został on udzielony na warunkach kredytu Banku Eksportowo-Importowego. I sądzę, że zostaną udzielone dalsze kredyty bez gwarancji, co najmniej do określonej sumy.

**Pytanie:** Skąd będą napływać pieniądze?

**Odpowiedź:** Z międzynarodowych rynków finansowych, a więc nie tylko ze Stanów Zjednoczonych. Szczególnie, gdy chodzi o tak ogromne zamierzenia finansowe, jak wydobycie gazu ziemnego. Jak panu wiadomo, obecnie rozpatruje się dwa projekty wydobywania gazu na Syberii. W związku z jednym z nich — jakutskim projektem, który przewiduje dostawy gazu ziemnego ze Wschodniej Syberii na zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych — nasz bank odgrywa rolę czynnika finansowego. Drugi projekt przewiduje dostawy gazu z Zachodniej Syberii, przez Murmańsk, na wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych.

**Pytanie:** Czy Japończycy są gotowi wziąć udział w tym finansowaniu?

**Odpowiedź:** Jeśli chodzi o jakutski projekt, to — jak przedstawia się to teraz — Japończycy będą prawdopodobnie otrzymywać znaczne ilości tego gazu i z pewnością wezmą na siebie proporcjonalną część wydatków. Jest bardzo prawdopodobne, że i japońskie, i zachodnioeuropejskie kompanie będą energicznie konkurować z kompaniami Stanów Zjednoczonych o pozycję największego dostawcy urządzeń i materiałów dla realizacji obu tych projektów i chyba znaczna część środków będzie dostarczana w formie kredytów na zakup urządzeń.

**Pytanie:** Jak będą wygasać te kredyty?

**Odpowiedź:** Drogą dostaw gotowej produkcji gazu ziemnego. Sądzę, że Związek Radziecki zabezpieczy terminową spłatę kredytów wraz z uruchomieniem posiadanych zasobów.

**Pytanie:** Panie Rockefeller, czy to wszystko wskazuje na zacieśnianie kontaktów Związku Radzieckiego z krajami Zachodu?

**Odpowiedź:** W pewnym sensie tak. Przywódcy radzieccy zamierzają zapewnić ludności swego kraju wyższy poziom życia. Polepszenie międzynarodowej sytuacji politycznej, a głównie wycofanie się Stanów Zjednoczonych z bezpośredniego udziału w wojnie w Wietnamie, jest także ważnym elementem tych umów. Współpraca między krajami, tak jak to widzę, będzie zmniejszać napięcie i prawdopodobieństwo wybuchu wojny.

**Pytanie:** Czy Stany Zjednoczone mogą wykorzystać handel jako narzędzie broni politycznej, w celu uzyskania od Rosjan pewnych ustępstw?

**Odpowiedź:** Jakiekolwiek stosunki mają polityczne zabarwienie i treść. W per-

Dalszy ciąg na str. 10

FILM

# DROGAMI CZASU

**Pełnometrażowy film dokumentalny był, jest i prawdopodobnie nadal pozostanie rzadkością na ekranach kin. Utrzymać uwagę widza, wciągnąć go w zdarzenia najbardziej nawet błahej i fikcyjnej opowieści jest rzeczą prostą. Dokonać tego samego za pomocą rejestracji i przekazu zdarzeń autentycznych okazało się sprawą nieporównywalnie trudniejszą, choć historia filmu fakty takie też odnotowuje. Przed dziesiątkami lat pionier, a dziś klasyk dokumentu Robert Flaherty, udowodnił, że jest to rzecz możliwa. Jego śladami poszli inni – Ioris Ivens dokumentu nie zdradził nigdy, Roberto Rossellini, twórca włoskiego neorealizmu, dla wielkiego dokumentu rozstał się z fabułą. To tylko przykłady wyrywkowe.**

**Lata powojenne wzbogaciły filmoteki całego świata o nową odmianę dokumentu, zwanego filmem montażowym. Dokumentaliści zaczęli w archiwach filmowch znajdować materiały, które w ciągu lat nabrały wartości, których być może ongi nikt nie przewidywał. Stare kroniki, później kroniki wojenne – zapisy zbrodni, klęsk i zwycięstw, kroniki i dokumenty wydarzeń politycznych i społecznych oraz zwykłe zapisy codziennej obyczajowości stały się bezcennym świadectwem historii niedawnej przecież, ale już odległej. Przypomnijmy tu tylko „Zwyczajny faszyzm" Michaila Romma i nasze „Spojrzenie na Wrzesień" Macieja Sieńskiego, filmy, w których archiwalne materiały, niosąc bagaż zdjęciowych dowodów, stały się źródłem przejmującego, mądrego, wyważonego komentarza i interpretacji niedawnej historii. Oba te filmy cieszyły się sławą i aprobatą szerokiej publiczności, a sale kinowe w czasie ich projekcji nie świeciły pustką. Powie ktoś, że to prawda, ale stało się tak dlatego, iż filmy te niosły tematy wielkie, ciągle jeszcze ważne i ludziom potrzebne. Oczywiście, że tak. Chodzimy do kina dla czystej li tylko rozrywki, ale chodzimy również wówczas, gdy proponuje nam się filmy, na które czekamy z jakichś tam racji głębszych, które znaczą coś w naszym myśleniu politycznym i intelektualnym, w odczuwaniu społecznym i moralnym. Trudno w dzisiejszych czasach, dających możliwość wyboru najróżniejszych form intelektualnego i emocjonalnego przeżywania zmusić nas do akceptowania tego, co intelektualnie miałkie i moralnie obojętne. Trudno przyzwyczaić do tego, że sztuka nawet w tej swej odmianie, którą nazywamy sztuką faktu, może być pozbawiona emocjonalnej barwy. Szyldy wielkich tematów i ważnych problemow nie zastąpią twórców, których postawy, zaangażowanie, pasje i nade wszystko myślenie chcemy widzieć przede wszystkim. Tylko wówczas powstać może płaszczyzna wspólnej dyskusji między tymi, którzy dzieło tworzą i tymi, którzy je odbierają.**

**Przypomnienie tych kilku faktów z dziejów kina dokumentalnego, przywołanie kilku refleksji wydało mi się konieczne z okazji premiery nowego polskiego filmu dokumentalnego „DROGAMI CZASU" Janusza Kidawy. Jak zostało powiedziane na początku, pełnometrażowy film dokumentalny bywa rzadkością. Jest piekielnie trudny, potykali się na nim nawet tak znakomici nasi dokumentaliści, jak Jerzy Bossak („273 dni poniżej zera"), czy Kazimierz Karabasz („Rok Franka W.") Janusz Kidawa miał odwagę go zrobić. Uwierzył, że temat, tak jak to już przecież w dziejach kina bywało, udźwignie całe przedsięwzięcie. Zapomniał że zwyciężali ci, którzy nie tylko tematowi zawierzyli.**

**Film „Drogami czasu" jest historią ruchu młodzieżowego w Polsce od pierwszych lat powojennych po rok 1972. Zaprzeczyć trudno, że w istocie temat to ciekawy, mogący liczyć na swych odbiorców zarówno wśród tych, którzy rodowodu swego szukać zechcą, jak i wśród tych, którzy go przed laty tworzyli. Boję się, że film Janusza Kidawy zawiedzie jednych i drugich. Dlaczego? Bo realizatorzy zaproponowali film zbyt prosty, łatwy, bezkonfliktowy, a oba pokolenia ludzi w filmie tym pokazanych, ci z ZMP i ci ZMS wiedzą, że przez te prawie lat trzydzieści nie było ani prosto, ani łatwo, ani bezkonfliktowo. Prawdy o pokoleniach nie da się zastąpić przemiennością obrazów z różnych okresów powojennej historii wedle zasady – hufce pracy dawniej i dziś, piosenka i taniec dawniej i dziś. Prowadzi to do efektów raczej niezamierzonych, odbiera nawet urodę archiwalnym zdjęciom, jeśli mówić o sprawie mało ważnej. Prowadzi do banałów i uproszczeń, jeśli chcemy mówić o sprawach najważniejszych, których wymiar określa wczoraj i dziś naszego kraju. W filmie, którego temat i zamierzenia przezeń określone każą oczekiwać czegoś innego, nie można obrazów zdarzeń dramatycznych pozbawić mądrej interpretacji. Wydarzenia roku 1956 i 1968 przedzielić wątpliwej mądrości scenką mimiczną, a zakończyć popisem zespołu mocnego uderzenia.**

**Jest w filmie Kidawy wiele znakomitych materiałów archiwalnych. I niesłusznie w wywiadzie dla Filmowego Serwisu Prasowego reżyser wypowiada swą troskę o to, iż widać w nich „inne spojrzenie, inny sam sposób kręcenia", że w zderzeniu ze zdjęciami współczesnymi, może ujawnić się „pewien fałsz". Widzowie jego filmu właściwie odbiorą historyczny sens i nową jakość, nawet estetyczną, dawnych zdjęć. One w filmie Kidawy bronią się same. Od twórcy zaś filmu widzowie oczekiwali czegoś innego. Zarówno wyważonego zamysłu autorskiego, zwłaszcza dramaturgicznego, jak i tego, co chyba najważniejsze: mądrego spojrzenia na przeszłość i współczesność młodych, pogłębionej interpretacji faktów. Własnego „ja", czyli obecności polskich dokumentalistów we współczesności nie zastąpią sklejki dawnych zdjęć i strzępy aktualnych wywiadów, choćby „najnowocześniej" fotografowane. Jeśli w relacji mojej pobrzmiewa nieco ostry ton, to tłumaczy go, sądzę, żal, że ciekawemu i chyba oczekiwanemu tematowi nie towarzyszą głębsze ambicje realizacji i prezentacji. Zaangażowanie, o którym dyskutują młodzi dziennikarze w filmie Kidawy jest w sztuce pojęciem szczególnie złożonym i deklaracje go nie zastąpią.**

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

# FILMY W TV

O roli filmów w telewizji pisałem w tej rubryce kilkakrotnie podkreślając, że decydują one często o pozytywnej ocenie całego programu. Dotyczyło to zarówno filmów fabularnych, które były wcześniej, albo nawet w znacznej przeszłości eksploatowane w kinach, jak i filmów telewizyjnych, specjalnie produkowanych dla potrzeb małego ekranu. (N. b. były to często telewizyjne wersje filmów „kinowych" jak: „Przygody pana Michała", czy prezentowany obecnie „Kopernik").

Na zbliżający się sezon jesienno-zimowy Redakcja Programów Filmowych przygotowała, jak się wydaje po przejrzeniu propozycji, program interesujący, uwzględniający różnorodne zainteresowania i gusty wielomilionowej widowni. W pierwszym i drugim programie wyświetlane będą seriale, cieszące się jak dotąd największym powodzeniem, oraz cykle tematyczne, uzupełnione wieloma filmami fabularnymi. W programie I seriale będą emitowane trzy razy w tygodniu, w programie II jeden raz. Obok dotychczas prezentowanych (i cieszących się dużym powodzeniem jak Filmoteka Arcydzieł) cyklów tematycznych, zobaczymy nowe, a wśród nich **KLASA ROBOTNICZA W WALCE.**

Cykl ten rozpocznie się w październiku, w okresie Krajowej Konferencji Partyjnej. Wyświetlany będzie we wtorki i soboty, obejmie sześć filmów zrealizowanych w różnych krajach. Z filmów zagranicznych zobaczymy:

▲ **„TOWARZYSZE"** Mario Monicellego, ukazujący budzenie się i rozwój świadomości klasowej robotników włoskich.

▲ **„SÓL ZIEMI"** Herberta Bibermana, będący klasyczną pozycją postępowej kinematografii USA, traktujący o walkach strajkowych meksykańskich górników.

▲ **„ADALEN 31"** Bo Widerberga, głośny film szwedzki, wyświetlany kilka lat temu na warszawskich „Konfrontacjach".

Z polskich filmów zobaczymy **„CZARNE SKRZYDŁA"** Ewy i Czesława Petelskich wg powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego, poświęcony walce robotników Zagłębia w latach dwudziestych. W dniu 15 grudnia br., w 25 rocznicę zjednoczenia ruchu robotniczego w Polsce, zostanie po raz pierwszy w telewizji, wyświetlony film Kazimierza Kutza **„PERŁA W KORONIE"**, film, który jest niewątpliwie jednym z największych osiągnięć polskiej kinematografii ostatnich lat.

Wcześniej, z okazji XXX rocznicy Ludowego Wojska Polskiego, w każdą niedzielę października będą wyświetlane filmy w reżyserii Jerzego Passendorfera, obrazujące w sposób chronologiczny bohaterstwo i trud bojowy polskiego żołnierza w latach II wojny światowej.

Od 28 października, w związku z rocznicą Rewolucji Październikowej, również w niedziele, nadawane będą kolejne odcinki słynnego już filmu Jurija Ozierowa **„WYZWOLENIE"**. Jest to 5-częściowy, szerokoekranowy film, który obecnie dzięki pośrednictwu TV dotrze do widzów w całym kraju. „Wyzwolenie" — film zrealizowany z ogromnym rozmachem, stał się sfabularyzowanym dokumentem przedstawiającym rolę Armii Radzieckiej w rozgromieniu III Rzeszy. Film ten zawiera wiele sekwencji „polskich", pokazujących współdziałanie i braterstwo broni radzieckiego i polskiego żołnierza.

A co zobaczymy w kontynuowanych cyklach tematycznych? Filmoteka Arcydzieł zapowiada m. in. „Czterysta Batów" Francois Truffauta, „Pancernik Potiomkin" Sergiusza Eisensteina, „Komedianci" Marcela Carnè (film złożony z 2 części: „Ulica złoczyńców" i „Romans pajaca"). Filmy te prezentowane będą raz w miesiącu, we wtorki.

W „Kinie Interesujących Filmów" zobaczymy wiele naprawdę interesujących filmów: „Mr Smith jedzie do Waszyngtonu" z Jamesem Stewartem w roli tytułowej, V. Schlondorffa „Niepokoje wychowanka Torlessa", produkcji NRF oraz „Ten najlepszy" Franklina Schaffnera, ukazujący kulisy brutalnej walki przedwyborczej w USA. Premiery KIF odbywać się będą raz w miesiącu, we wtorki.

Redakcja Programów Filmowych TV zapowiada również kilka nowych seriali. Pierwszy to zrealizowany przez BBC-TV film seryjny „Kuzynka Bietka" wg Balzaka, w reżyserii Gareth Daviesa z Margaret Tyzack w roli głównej. Następny, to cieszący się od dawna ogromnym powodzeniem serial Franco Rossiego „Odyseja" z udziałem znanych aktorów z wielu krajów. (W roli Penelopy wystąpi grecka aktorka Irena Papas). Serial będzie się składał z ośmiu godzinnych odcinków.

I jeszcze dwa seriale zagraniczne. Produkcji telewizji NRD „Płomień czarnej świecy" w reżyserii Petera Hagena. Jest to opowieść o losach niemieckiego komunisty, który wykrada hitlerowcom tajemnice nowego gazu bojowego i przekazuje ją do Zw. Radzieckiego. Listę tę uzupełnia serial francuski „Rodzina Durtolów" w dwudziestu półgodzinnych odcinkach.

JAROSŁAW TARNO

Dalszy ciąg ze str. 9

bijali, odważni stawali się tchórzami, wierzący — bluźnili, bluźniercy odmawiali pacierze...

Pamiętam ten wiersz jeszcze...

**O bruk ulicy wsparłeś posiniałe skronie**
**Wokół których narasta ślad tragicznie krwawy**
**Szeroko rozrzuciłeś dziecięce swe dłonie**
**Broniąc wrogom dostępu do twojej Warszawy.**

**Dawniej byłeś jak iskra w szarym ludzkim tłumie**
**Tryskający dowcipem wszędobylski gavroche**
**Teraz leżysz zastygły w śmiertelnej zadumie**
**Mały niezłomny rycerz sans peur et sans reproche.**

**Tak szybko się prześniłeś złoty śnie o szpadzie**
**Zatrzasnęłaś się życia czarodziejska bramo**
**Cicha śmierć na twarzyczce zimne ręce kładzie**
**I zaciera na wargach ostatni szept: Mamo,...**

Czasem myślę o lipie z warszawskiego podwórka, która może małemu chłopcu z biało-czerwoną opaską w tej chwili ostatniej jawiła się twarzą matki...

* * *

Łaziliśmy kiedyś z synem mojego przyjaciela po lesie i trafiliśmy na porębę.

— Popatrz! — powiedział Mały Człowiek — wszystkie drzewa stąd sobie poszły! Przypuszczam, że karmili je kaszką manną i marchewką. Ja też chyba sobie kiedyś pójdę z tego wszystkiego.

Potem podniósł oczy w górę, patrzył długo na chmury płynące nad lasem.

— Chmury nie jedzą kaszki manny — rzekł w zamyśleniu głębokim. — One mają dobrze...

W tym momencie w moim małym towarzyszu narodził się przyszły globtrotter.

Syn mojego przyjaciela ma cztery lata i na razie rysuje drzewa. Te jego drzewa mają nogi i ręce i oczy. I kilka ogromnych liści. Ale przede wszystkim mają nogi. Czasem nawet po kilka sztuk.

* * *

— Wierzę, że źdźbło trawy jest takim samym cudem, jak podróż gwiazdy po niebie.

I mrówka, i ziarno piasku, i jajko strzyżyka... wszystko jest doskonałe,

Zielona żaba jest najwyższym arcydziełem,

A leśne jeżyny stroić będą komnaty niebieskie

— najlepiej, jeśli się trafi, że Whitmana recytuje pijany, stary aktor. Ja miałem szczęście przeżyć to w bufecie na dworcu w Koluszkach. Pijany, stary aktor rozlewał po sobie piwo, ział mi w twarz kwaśnym oddechem i poezją.

— Krowa, pasąca się ze spuszczonym łbem, piękniejsza jest od wszystkich pomników,

A zwykła mysz, przez sam cud swojego istnienia, może nawrócić sekstyliony niewiernych!

* * *

J. J. Rousseau był za powrotem do natury. Marinetti opętany haszyszem maszyny, marihuaną pędu ryczał, iż samochód jest piękniejszy od milońskiej Wenus. Majakowski proponował spalenie wszystkich muzeów świata, pod listami do Lili Brik rysował małego śmiesznego pieska i podpisywał się: Wasz Szczen, a w ostatnim liście napisał: „Nie przypisujcie nikomu winy za moją śmierć i proszę, nie plotkujcie. Nieboszczyk okropnie tego nie lubił". Jeszcze napisał w tym liście tak:

**Jak to się mówi**
**historia skończona**
**strzaskała się**
**łódka miłosna**
**o byt**
**Jesteśmy ze sobą**
**Więc co nam**
**po czczych wspominkach**
**bólów i krzywd?**

* * *

Bokser wie, kiedy powinien zejść na zawsze z ringu. Życie jednak nie jest sportem, a życiem. I nie zawsze wiadomo, kiedy odejść, czasem odejście jest dezercją, a często odchodzimy wbrew swojej woli...

GLOBTROTTER

# ROCKEFELLER O HANDLU WSCHÓD - ZACHÓD

Dalszy ciąg ze str. 9

spektywie, dobre stosunki ekonomiczne wywierają dobroczynny wpływ na politykę. Ale z naszej strony byłoby grubym błędem wykorzystanie handlu jako dźwigni do osiągnięcia własnych celów czy groźby. Sądzę, że Rosjanie zareagowaliby na to wystarczająco mocno.

**Pytanie:** Dlaczego?

**Odpowiedź:** To dumni ludzie. Oni także twierdzą — i — oczywiście mają ku temu podstawy — że wiele innych krajów w Zachodniej Europie, jak również Japonia, pragnie ich zaopatrzyć w to wszystko, co mogą im dać USA. Istotnie, na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat niemal zupełnie przestaliśmy handlować z ZSRR, nie zgodziliśmy się na większy eksport, a to przecież i tak nie przeszkodziło wzrostowi ich potęgi.

**Pytanie:** A zatem, jak widać, nie zgadza się pan z tymi ludźmi, którzy mówią, że Stany Zjednoczone nie powinny udzielić rosyjskim towarom klauzuli do największego uprzywilejowania?

**Odpowiedź:** Wykonanie umowy handlowej i porozumienia o lend-lease, już zawartych z Rosjanami, zależy od udzielenia przez Kongres Związkowi Radzieckiemu prawa największego uprzywilejowania. Nie spełnienie tego warunku zagrozi potencjalnemu wzrostowi radzieckiego eksportu do Stanów Zjednoczonych i, co za tym idzie, możliwości kupowania przez Związek Radziecki amerykańskich towarów.

Wiem, że istnieją takie aspekty życia ludzi radzieckich, które nam, Amerykanom, nie odpowiadają. A w naszym społeczeństwie istnieją znów takie aspekty, które nie podobają się Rosjanom. Umacniające się stosunki handlowe są jednym z najlepszych sposobów lepszego wzajemnego poznania się. Jeśli problem przyznania towarom rosyjskim klauzuli największego uprzywilejowania okaże się przeszkodą na drodze szerszej wymiany handlowej — to być może zaprzepaścimy dobrą okazję do przekształcenia świata na bardziej racjonalnej podstawie i zasadach rozwijającej się współpracy.

**Pytanie:** Czy Stany Zjednoczone powinny znieść wszystkie ograniczenia na eksport towarów strategicznych?

**Odpowiedź:** Nie. Jeśli mowa o broni strategicznej, czy materiałach mających bezpośredni związek z produkcją wojskową, nie byłbym za zniesieniem ograniczeń. Ale uprzedni spis towarów, objętych zakazem eksportu, obejmował około 1600 określonych wyrobów, w tej liczbie także wiele takich, które nie mają nic wspólnego z obroną. Przytłaczająca większość tych ograniczeń powinna być zniesiona; niektóre z nich zostały już zniesione. Wielu ludzi, bardziej zorientowanych ode mnie, skłania się do wniosku, że stosunkowo mało jest takich towarów, których Rosjanie nie mogliby otrzymać innymi drogami. Dlatego też nasz zakaz eksportu tych towarów do ZSRR jest nieefektywny.

J. CZECH

## PLASTYKA

# barbara SZAJDZIŃSKA KRAWCZYK

Pierwszą refleksją, która nasunęła mi się po obejrzeniu wystawy malarstwa Barbary Szajdzińskiej-Krawczyk w Salonie Sztuki Współczesnej było, iż niewątpliwie zna ona języki obce, a z języków obcych zna przede wszystkim francuski i angielski. Trudno mi stwierdzić z całą pewnością czy Barbara Szajdzińska-Krawczyk zna także łacinę, a jeżeli ją zna — to czy zna ją w wydaniu klasycznym, czy tylko z „Łacjny na co dzień" Czesława Jędraszko (Nasza Księgarnia, W-wa, cena 20 zł). Barbara Szajdzińska-Krawczyk przez kilka lat pracowała w sąsiedztwie swego męża, Jerzego Krawczyka, który był malarzem głębokim i mądrym, nie mówiąc już o tym, że był malarzem bardzo dobrym. Z tego to sąsiedztwa wynikły dla malarstwa Barbary Szajdzińskiej-Krawczyk pewne skutki, z których najbardziej widomymi są:

— pragnienie namalowania przedmiotów w sposób iluzjonistyczny, a więc taki, aby sprawiały wrażenie, iż są rzeczywiste; wywodzi się to zapewne z przeświadczenia artystki, iż świat poznawalny za pomocą zmysłów jest złudą;

— pragnienie zamknięcia w prostokącie płótna pewnych myśli filozofjcznych (które to w omawianym wypadku są zwykle myślami natury ponadczasowej!) przy pomocy skojarzeń zapożyczonych z surrealistycznego lamusa;

— pragnienie epatowania widza mnogością skojarzeń i bogactwem wyobraźni, które to pragnienie streszcza się w układaniu obok siebie przedmiotów z tzw. „różnych parafii" — im większe odległości dzielą owe parafie od siebie, tym zabieg ów wydaje się autorce bardziej udany.

W efekcie oglądamy malarstwo, które ma wszelkie pozory głębi intelektualnej i doznajemy przykrego rozczarowania, gdy owej głębi nie znajdujemy. Swego czasu modne było powiedzonko: „Lolobrigida dla ubogich". Parafrazując owo powiedzonko można by rzec, że malarstwo Barbary Szajdzińskiej-Krawczyk jest malarstwem dla bardzo nie lubiących myśleć snobów, dla których strój jest tym czymś, co czyni człowieka. Na koniec nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga, do której jako recenzent mam prawo. Otóż obrazów Jerzego Krawczyka nie sposób było o p o w i e d z i e ć — je trzeba było zobaczyć! Obrazy Barbary Szajdzińskiej-Krawczyk można opowiedzieć, natomiast można ich nie oglądać wcale i nic się przez to nie straci.

A poza tym wszystko w porządku.

ANDRZEJ GRUN

# POCZTA LITERACKA

**„AUTORKA".** Pisze Pani: **„Wydaje mi się, że większość początkujących poetów nie doznaje porażki".** Niestety, proszę Pani — początkujących autorów jest mrowie, niewielu z nich wypływa na łamy czasopism i stronice książek.

Nadesłane wiersze nie są, jak się Pani obawia, ani złe, ani głupie. Są po prostu bardzo naiwne, banalne. Nie potrafi Pani jeszcze zamknąć w tych wierszach swoich wzruszeń tak, aby wzruszył się czytelnik. Pani metafory są już tak zużyte, że doczekały się nawet wielokrotnych parodii... Po prostu operuje Pani banałem, który banałem był już w latach dwudziestych. Jeśli się mówi, że poezja powinna szukać nowych środków wyrazu — to rozumiemy, że musi odnajdywać nowe obrazy, nowe skojarzenia, nowe wzruszenia. Pani wzruszenia są na pewno autentyczne, ale do ich przekazania używa Pani literackich instrumentów, które dziś brzmią fałszywie.

# POWIĘKSZENIA

**ZNAJOMI**

„Express Ilustrowany" w stałej pozycji „Rozmowy dnia" odkrył, że „Uśmiech najlepszą receptą!"

„Mówi o tym dziś reporterowi „Expressu" znany internista dr L., lekarz i naukowiec, który w swoich badaniach wiele uwagi poświęca zagadnieniom zależności organizmu człowieka od warunków atmosferycznych".

Dr L. z n a n y jest przede wszystkim (t) — autorowi rozmowy.

**PYTANIE TYGODNIA**

„Ziemia Łęczycka" pyta:
„Czy świnia trafi do punktu skupu?"
Odpowiadamy: nie każda! Niestety.

**PROPOZYCJA?**

„Głos Robotniczy" proponuje:
„Po powrocie z wczasów i urlopów warto rozejrzeć się nieco po własnym gospodarstwie. Może znajdzie się parę luk — chociażby w domowym sprzęcie, które warto uzupełnić w sklepach „Eldomu"."

Po powrocie z wczasów i urlopów należy najpierw uzupełnić luki w portfelu.

# PODRYWACZ

§

Na brak urody Tadeusz P. nie miał prawa narzekać. Wysoki, przystojny, o czarnej czuprynie młody chłopak wyraźnie podobał się dziewczętom, a przebywanie w ich towarzystwie oraz w gronie podobnych mu przystojniaków stanowiło podstawowe zajęcie bohatera naszej opowieści. Dosyć dawno rzucił pracę w miejscowej hucie uznając, że ponad dwutysięczny zarobek, to mało jak na jego potrzeby, żył nie wiadomo z czego, większość czasu spędzając w kawiarniach.

Nic więc dziwnego, że znająca jedynie jego warunki zewnętrzne, a nie wiedząca nic o trybie życia Tadeusza Anna W. bez trudu dała się „poderwać" i to na ulicy. Co prawda matka zawsze ją przestrzegała twierdząc, że ulica nie jest odpowiednim miejscem do zawierania znajomości, ale Tadeusz był tak prawdziwy w swoich zapewnieniach, że od razu uwierzyła...

— Obserwuję panią już od dawna. Bardzo mi się pani podoba, sądzę że będziemy kontynuować nasze spotkania.

Anna nie miała nic przeciwko temu. Ponieważ jednak tego dnia szła na imieniny, do następnej — umówionej już randki doszło kilka dni później. Wtedy to Tadeusz zauważył w rękach, swojej partnerki mały cepeliowski portfelik. Wyrwał jej go z rąk, oddał dokumenty, ale portfel wraz z niewielką sumą pieniędzy zabrał.

— Oddam ci później, Wiesz, bardzo mi jest z tobą dobrze...

Idylla trwała, Anna nie pytała już o portfel, wierzyła zakochanemu w niej mężczyźnie.

Następne spotkanie odbyło się w parku. Dla jego uświetnienia Anna założyła na palec piękny złoty pierścionek, upominek od rodziców w dniu osiągnięcia pełnoletności. Piękne cacko odrazu przykuło uwagę Tadeusza.

— E, to chyba fałszywy — powiedział z powątpiewaniem.

— Skądże — gorąco zaprzeczyła dziewczyna — mama mówiła, że wart jest 10 tys. zł.

— Pokaż go.

„Nie chciałam mu dać tego pierścionka, bo przeczuwałam, że będzie to samo, co z portfelem. Wtedy złapał mnie za rękę, siłą wykręcił mi ją i przemocą zdjął pierścionek. Następnie wstał z ławki i szybko gdzieś poszedł... Ja wróciłam do domu i razem z rodzicami zawiadomiliśmy MO" — zeznawała w prokuraturze Anna.

Pierścionek oszacowany został przez jubilera na 3 tys. zł. Tadeusz P. sprzedał go za zł. 800.

Pieniądze te zmobilizowały naszego bohatera do wyjazdu na... wypoczynek. Wziął więc namiot i wraz z dwoma kumplami udali się do pobliskiej miejscowości wypoczynkowej. Pieniędzy starczyło na dwa dni, a nad rzeką było wyjątkowo przyjemnie. Tadeusz ruszył więc na „łowy".

Na plaży, mieszczącej się nieopodal miejsca ich biwakowania leżała młoda dziewczyna.

— Przepraszam, nie ma pani zapałek?

Dziewczyna przerwała na chwilę opalanie, spojrzała na pytającego. I jeszcze raz uroda Tadeusza zadecydowała. Po godzinnej rozmowie dziewczyna, a była nią Katarzyna B., zgodziła się na pójście do namiotu w celu wypicia butelki wina.

Tak też się i stało, z tym że epilog owej wizyty był nieco inny niż spodziewała się zaproszona. Otóż w pewnym momencie Tadeusz przysunął się do dziewczyny i chwycił ją za rękę. Odwzajemniła uścisk, on zacisnął jeszcze mocniej dłoń na jej ramieniu.

— Co robisz, boli, bądź delikatny.

Ale delikatność nie leżała w naturze naszego bohatera. Drugą ręką ściągnął Katarzynie zegarek, a następnie wyprosił z namiotu.

Zegarek miał wartość 800 zł., „poszedł" za 200 zł.

Swoją złodziejską karierę Tadeusz P. rozpoczął znacznie wcześniej, kradzieżą materiału w hucie szkła. Następnie rozzuchwalił się tak, że kradzieży dokonywał w sposób określany przez prawników jako zuchwały. Z reguły chodziło tu o drobne sumy, w granicach 100 — 200 zł., a dziewczęta wstydziły się mówić o tym komukolwiek. Dopiero opisane na wstępie sprawy położyły na cztery i pół roku kres działalności zuchwałego złodzieja, gdyż na tyle lat pozbawienia wolności skazał go sąd.

Przy okazji jeszcze raz potwierdziła się prawda, że zawieranie znajomości na ulicach nie popłaca.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

# GENIALNI FAŁSZERZE

O fałszerzach napisano już wiele. Zdemaskowanie kilka lat temu Elmyra de Hory, który ze szczególnym upodobaniem podrabiał dzieła Matisse'a; czy Davida Steina, fałszującego rysunki i płótna Picassa, Cocteau lub Chagalla — odbiło się szerokim echem w całej prasie światowej.

Ostatnio temat fałszerstwa zwłaszcza w sztuce choć także i w literaturze podjął nie byle kto, bo sam Orson Welles sława w dziedzinie aktorstwa i reżyserii. Przez osiemnaście miesięcy nakręcał w Paryżu film zatytułowany „Fake" (Falsyfikacja) wziąwszy na swój warsztat filmowy głównie osobę Elmyra de Hory oraz Clifforda Irvinga, autora rzekomych pamiętników miliardera Howarda Hughesa.

Orson Welles jakkolwiek stawia w swym filmie pytania, nie udziela na nie jednoznacznej odpowiedzi. Trudno tu bowiem o zdecydowaną odpowiedź. Czym jest bowiem fałszerstwo obrazu? — zdaje się pytać Orson Welles. Imitacją naśladownictwem, wczuciem się w osobowość twórcy danego dzieła czy danych dzieł. Ale czym w takim razie jest aktorstwo? Czyż nie polega ono właśnie na imitowaniu jakiejś postaci, wczuciu się w jej osobowość? Czy można oddzielić kunszt fałszowania od sztuki? Jeden ze znawców tych zagadnień Robert Lebel jest zdania, że jest to niemożliwe, bowiem jak zauważa, malarstwo, w swej istocie jest przecież sztuką imitowania natury martwej czy też żywej. Każdy malarz ponadto, nawet z najbardziej genialnych, zaczynał swą artystyczną karierę od kopiowania czy naśladowania swych ulubionych mistrzów pędzla. Picasso, imitował Toulouse-Lautreca, Cézanne kopiował Lancreta, Tycjan Giorgione'a. Dopiero w dalszym rozwoju swego talentu genialni malarze wypracowywali swój własny, oryginalny styl, dzięki czemu stawali się tym, czym są. A zresztą i tym najbardziej genialnym można czasem zarzucić, że po prostu niekiedy dokonywali fałszerstwa. Michał Anioł „fabrykował" greckie starożytne wazy, Watteau i Fragonard sprzedawali marszandom przy Pont-Neuf w Paryżu obrazy rzekomych flamandzkich artystów. „Dla zdolnego malarza trudność polega właśnie na tym, aby nie pozostać fałszerzem, lecz znaleźć swój własny styl" — konkluduje Lebel.

Rzeczywistość zdaje się potwierdzać słuszność tych wywodów. Jak się bowiem zaczęła karier fałszerstw np. Davida Steina? Jak wszyscy fałszerze sztuki, kochał on malarstwo. Początkowo dla swej wyłącznej przyjemności i satysfakcji sporządzał kopie słynnych mistrzów. Kopiowanie, jak wiadomo, nie jest przez nikogo zabronione. Istnieje zresztą nawet fach kopistów. Przestępstwo zaczyna się jednak w tym momencie, kiedy ktoś kopię lub imitację świadomie sprzedaje jako oryginalne dzieło. Stein został fałszerzem, jak twierdzi, z prostego przypadku. Pewnego razu sporządził wyjątkowo udany szkic w stylu charakterystycznym dla twórczości Picassa. Pokazał to pewnemu marszandowi. Marszand nie tylko nie poznał się na falsyfikacie, ale z miejsca zaproponował kupno, oczywiście za cenę znacznie niższą, niż wart byłby rysunek oryginalny. David Stein odprzedał go z miejsca. I tak się zaczęło. Z początku fałszował dzieła niewielkie rozmiarami: szkice Picassa, pastele Cocteau, ale za to już setkami „Interpretowałem — powiada Stein — Picasso wykonywał 150 wariantów tego samego tematu, więc czemu nie mogłoby być 151 czy 152?" A Elmyr de Hory wyznaje z rozbrajającą szczerością: „Ten biedny Matisse nie miał pewnej ręki. Gdy go imitowałem sprawiało mi to nawet dużo trudności". Czyżby więc sztuka fałszowania obrazu była interpretowaniem danego mistrza? Narzuca się niemal sam przez się przykład genialnego fałszerza Van Meegerena. Zaraz po wojnie został on oskarżony o kolaborację z hitlerowcami. Zarzucono mu bowiem, że sprzedał Goeringowi nieznane obrazy wybitnego malarza holenderskiego z przełomu siedemnastego i osiemnastego wieku — Vermeera van Delf. Ku zdumieniu wszystkich Van Meegeren oświadczył, że rzekome dzieła holenderskiego mistrza były całkowicie wykonane przez niego. Van Meegerena, i Goering zapłacił za falsyfikaty. Falszerstwo było tak doskonałe, że nie udało się je stwierdzić nawet ekspertom. Van Meegeren dla udowodnienia swej sztuki imitacji wykonał w izolacji, w więzieniu, inne rzekome dzieła Van Vermeera tak doskonale naśladując styl holenderskiego mistrza, tak wczuwając się w osobowość artysty, że zdumieni byli tym nawet specjaliści.

O zdemaskowaniu Davida Steina zadecydowała głównie jego nieostrożność. Pewnego razu był tak lekkomyślny, że sporządził dwa rysunki rzekomo Picassa i Chagalla na tym samym papierze i zaniósł je do pewnego marszanda. Ów przyjrzał się uważnie i powiedział: „Coś mi się zdaje, że wykonała je ta sama ręka". Wkrótce też David Stein został aresztowany i udowodniono mu fałszowanie dzieł sztuki.

Jeszcze jedno ważne zagadnienie porusza w swym filmie o fałszerzach Orson Welles — wartości autentyku. Kilka kresek ołówka, jakie wyszły spod ręki Picassa czy Bonnarda nieraz nie są bynajmniej lepsze, niż kilka takich samych kresek ołówka wykonanych przez Steina czy de Hory. Ale wartość jednych i drugich jest przecież różna. Więc ludzie płacą ogromne sumy pieniędzy tylko dlatego, że mają do czynienia z autentycznym dziełem wybitnego malarza, choć obiektywnie sądząc rysunki fałszerzy mogą być bardziej doskonałe pod względem artystycznym. Katedra w Chartres została wzniesiona i przyozdobiona przez tysiące anonimowych artystów, którzy nie pragnęli unieśmiertelnienia swych nazwisk, nie pragnęli też zrobić na swych dziełach majątku I choć znajdują się w katedrze istotne arcydzieła, nikomu przez wieki wieków nie przychodzi do głowy by je podrabiać, imitować i sprzedawać jak oryginały.

Dodajmy już od siebie, że kwestia fałszowania dzieł sztuki nabiera ostatnio nowego aspektu jeśli chodzi o wytwory sztuki tzw. nowoczesnej. Oto niedawno prasa doniosła o zmartwieniu francuskiego rzeźbiarza Césara. Jego pomysł kompresowania biżuterii znalazł naśladowców. Obecnie „kompresje" te sprzedawane są jako jego dzieła. César jest bezsilny. Po pierwsze nie może zastrzec sobie wyłącznego prawa do zgniatania biżuterii, a po drugie w jaki sposób ma on taką „kompresję" podpisać własnym nazwiskiem? Jak nadać swemu dziełu, skoro jest ono wynikiem zabiegów mechanicznych, cechę swej osobowości?

Film Orsona Wellesa o fałszerzach nie udziela odpowiedzi na wysunięte przez niego zagadnienia. Jedno jest pewne: jakkolwiek by nie nazwać podziwianych dzieł sztuki — interpretatorami czy fałszerzami — ludzie ci są bardzo zdolni, nieraz genialni, choć nie odnaleźli swej oryginalnej drogi twórczej. Ciągną zaś profit, naśladując, nieraz umiłowanych przez nich mistrzów. Czy można fałszerzy, ich dzieła i działalność eliminować z dziedziny sztuki?

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Z darzeni A · I · Z wierzeni A

# KULISY CZY NIEPOROZUMIENIA?

Niedawno „Express" opublikował informację pt. „Kulisy Sopotu", w której znalazło się sporo nieporozumień na temat... kulisów Festiwalu. Oczywiście prawdą jest skandaliczna indolencja wytwórni płyt w dziedzinie reklamy, prawdą jest, że Stan Borys nie miał na kiermaszu swojego longplaya... — Te — jak pisze korespondent „Kuriera Polskiego" — żenujące fakty nie wymagają komentarza.

Komentarza wymagają natomiast inne sprawy, które umknęły uwadze opinii publicznej. Oto czytamy, że Maryla Rodowicz powiadomiła przedstawiciela „Pronitu", że reprezentuje jego firmę. Paradoks? Tak, ale polega on na tym, że Polska nie ma wytwórni płyt „Pronit". Są to po prostu Zakłady Chemiczne „Pronit" w Pionkach, które, obok produkcji tworzyw sztucznych, klejów, lakierów i rozpuszczalników tłoczą również z matryc dostarczonych przez „Polskich Nagrań" płyty gramofonowe. „Pronit" nie miał wpływu na to, kto będzie reprezentował „Pronit", bowiem cała historia z dwiema polskimi wytwórniami była po prostu... fikcją.

Cała zabawa polega na tym, że w Polsce istnieje jeden producent płyt — „Polskie Nagrania". Firmy „Muza" i „Pronit" to tylko tłocznie płyt: jedna w Warszawie (dodajmy, że mieszcząca się w budach przedwojennej firmy „Odeon"), druga — w Pionkach. Aby jednak dopuścić do Festiwalu dwu polskich piosenkarzy, stworzono fikcję — uznano, że „Muza" i „Pronit" to dwie oddzielne firmy, choć przecież repertuarowo i programowo producentem płyt są „Polskie Nagrania". Jest jeszcze druga — „Veriton", ale to w tym wypadku inna sprawa.

Nie przypuszczam zatem, aby o kandydaturach do Sopotu decydowali wytwórcy z tłoczni w Pionkach, czy na Woli w Warszawie... Decydowały „Polskie Nagrania". Może o tym nie wiedzieć przeciętny meloman, ale wie na pewno znana piosenkarka.

Sprawa płyt, jakie chciała otrzymać Maryla Rodowicz w celach reklamowych. Oczywiście, że powinna je dostać, ale... Producenta obowiązują takie same przepisy, jak w każdym innym przemyśle, choćby lekkim. Czy dyrektor tkalni może dać 100 metrów tkaniny plastykowi, który projektował na nią wzór? Nie może, choćby ta tkanina była artyście potrzebna właśnie w celach reklamowych, na wystawę plastyczną.

Zgoda, że jest to przepis sztywny i należałoby go w pewnych dziedzinach uelastycznić. Ale tak jest i osobiście — choć podzielam rozgoryczenie piosenkarki — rozumiem przedstawiciela tłoczni w Pionkach, że się bał NIK-u.

Wreszcie sprawa Stana Borysa. Nie mógł on wcześniej dowiedzieć się o swoim udziale w Festiwalu Sopockim. Przecież polskich piosenkarzy do Sopotu typuje się dopiero po zakończeniu Festiwalu w Opolu. Taka jest zasada od lat, że Opole otwiera drogę do Sopotu.

Może o tym nie wiedzieć przeciętny meloman, ale wie na pewno znany piosenkarz. I mówi, że „odpowiadano mi, że to nic pewnego, że mogą zajść jeszcze zmiany". Oczywiście, że mogły zajść zmiany! Przecież laureatów w Opolu było wielu — trwały więc przetargi i „przymiarki", aby wybrać tylko jednego. Oficjalne potwierdzenie udziału w Sopocie otrzymał Stan Borys na pięć tygodni przed Festiwalem! Dla doświadczonego piosenkarza to jest krótki czas? Francuz Daniel Gerard dostarczył orkiestrze Henryka Debicha aranże swoich utworów... na dwie godziny przed koncertem! A jak śpiewał, zobaczą państwo w którąś sobotę września, kiedy Telewizja nada recital francuskiego piosenkarza na sopockiej estradzie.

Reasumując więc — nie wpadajmy w przesadę i nie rozdzierajmy szat nad tragedią, która nie miała miejsca. Podobnie jak nie miało miejsca uchylanie się „Polskich Nagrań" od zapewnienia Stanowi Borysowi diet, kosztów podróży i hotelu na czas prób w Łodzi.

Czytam, że „mimo zapowiedzi Stan Borys nie doczekał się swego longplayu na kiermaszu". Całkowicie się zgadzam z opinią, że to skandal, aby piosenkarz reprezentujący wytwórnię płyt wystąpił na Festiwalu bez płyty.

Tylko, że znów... Zapowiedź, że płyta będzie, była zapowiedzią... Stana Borysa. „Polskie Nagrania", nie wiedząc przecież do ostatniej chwili, kto wypadnie dobrze w Opolu, nie mogły przygotować płyty i mu tego nie przyrzekały. Zwłaszcza, że plan „Polskich Nagrań" jest niezwykle przeładowany, tłocznie pracują w warunkach prawie z czasów Edisona, a poprzednia płyta Stana Borysa... po prostu musiała być przeceniona ze względu na małe zainteresowanie nabywców. Czy można się dziwić, że w takiej sytuacji producent jest ostrożny?

Wydaje mi się zresztą, że sprawy sygnalizowane zarówno w artykule „Kulisy Sopotu" jak i w tym felietonie, są tylko marginesem problemu. Sedno tkwi w niewłaściwym ustawieniu formalnym „Polskich Nagrań". (120 mln zł zysku rocznie — 1 milion na reklamę), sedno tkwi w niedoinwestowaniu tłoczni w Pionkach i w Warszawie, w całym zespole spraw, rodzących potem sytuacje żenujące. Takie choćby, jak ta, że właściciel maleńkiej wytwórni płyt w Finlandii rozrzuca garściami kolorowe fotosy i foldery, a potentat płytowy „Polskie Nagrania" nie może zainwestować w reklamę głupich 20 longów Maryli Rodowicz.

I to jest — wydaje się — problem wart podania pod rozwagę Ministerstwa Kultury. Piosenka coraz bardziej zaznacza swoją obecność w życiu społecznym, jest tak istotnym składnikiem kultury masowej, że trzeba ją wreszcie zacząć traktować poważnie. Przemysł rozrywkowy w Polsce powinien być nowoczesnym przemysłem, a nie XIX-wieczną manufakturą.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

## FRYZURY

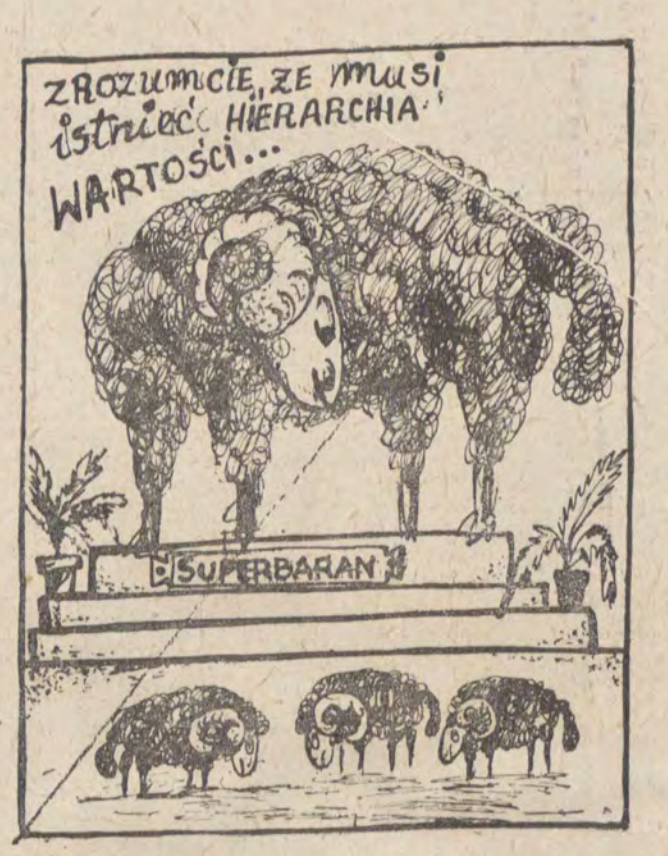


LEWYM OKIEM!

# POZDROWIENIA Z HONG-KONGU

Nad biurkiem pewnej pani w instytucji, w której bywam rzadkim, ale stałym gościem od wielu lat, pokrywa ścianę wielka niezmiernie kolorowa mozaika z kart pocztowych.

Mozaika narastała od dawna, ściana jest duża i do przejścia tej pani na rentę jeszcze chyba miejsca na pocztówki nie zabraknie. A jeśli cokolwiek narasta przez dłuższy czas, to już może świadczyć o przemianach w tym czasie zachodzących, bowiem wszystko zmienia się wraz z czasem.

Na samym dole z lewej strony pływają białe żaglówki po jasnoszarym jeziorze, na tle ciemnoszarego lasu. Pocztówki są jednobarwne; w latach pięćdziesiątych przemysł poligraficzny nie dysponował jeszcze możliwościami druków kolorowych, tylko kreskowe malowanki Szancera i Uniechowskiego wychodziły jako tako na kartach z życzeniami noworocznymi. Nie było odpowiednich papierów, sprzętu fotograficznego, filtrów, nabłyszczań. Na urlopy jeździło się do związkowych domów wczasowych na Dolnym Śląsku, na Mazurach i nad morzem, poza tymi centrami nie było dokąd. Grusze jeszcze nie kojarzyły się nikomu z możliwością zorganizowanego wypoczynku, słowo camping trąciło brzydką, zachodnią proweniencją. Pocztówkowe kolekcje na ścianach biurowych nieodmiennie zaczynają się od żaglówek, Śnieżki i wodospadu, wszystko szare i matowe, pożółkłe od konferencyjnych dymów i łódzkiego smogu.

Potem ktoś gdzieś uznał, że już można objąć planem produkcji i zbytu widokówki krajoznawcze, że owszem — stanowią one jeden ze środków wizualnej propagandy. Około roku 1960 runęła pocztówkowa lawina, zdjęcia i ujęcia stały się tak wymyślne, że znanej nam dobrze ulicy gdzieś w Radomiu, Olsztynie czy Gdyni — nie możemy poznać, tak piękny jest jej wizerunek, tak bogaty w efekty świetlne, purpurowe smugi neonów, fioletowy cień pod załomem muru.

Plansza za plecami znajomej nam już pani staje się kolorowa, artystyczna, błyszcząca. Coraz więcej tu „historycznych przekazów", zamki i pałacyki naszych feudałów przestały być widmami ucisku klasowego, już jest odbudowany Baranów, Księżno, Zamość i Zaniemyśl. Ludzie jeżdżą i kręcą się po wszystkich okolicach, nagle masz pocztówkę z Tolkmicka (w 52 roku stały tam trzy domy wśród pagórkowatego krajobrazu ruin, a kolejarze i robotnicy leśni nie pisywali stamtąd pozdrowień do łódzkich urzędów), z Dobiegniewa (któż pamięta, że to Woldenberg, jeden z największych obozów jenieckich polskich oficerów w czasie wojny), z Tucholi, gdzie jakiś zakład zaczął stawiać domki wczasowe. No i po rosnącej ilości miejsc nadania — nagły skok jakościowy: stary ratusz w Lipsku. Parlament w Budapeszcie. Pomnik Jana Husa w Pradze.

W moim biurze też w dwóch pokojach są takie zbiory na ścianach. W pionie ekonomicznym geografia kończy się na krajach demokracji ludowej. Owszem, gęstnieją widoczki znad Czarnego Morza i z Turyńskiego Lasu, jest Balaton i nawet uniwersytet w Belgradzie. Miejsca wzdłuż trasy Sport-Touristu „przez pięć stolic". Dla pionu technicznego świat jest większy, tam — jak to wynika ze ściany — jeździ się służbowo nawet do Wenecji, Paryża i Londynu. Cóż to jednak znaczy w porównaniu z panią, o której mowa wyżej? Tam plansza przekroczyła już piramidy i norweskie fiordy. Prawy skraj mozaiki sięga Nowej Zelandii, Hong-Kongu, Rio de Janeiro i mostu w San Francisko, zbudowanego przez syna naszej aktorki Modrzejewskiej. Kim jest ta pani?

Jest urzędniczką o pensji całkiem średniej. Nie wszędzie była, to są przecież pozdrowienia od przyjaciół i przyjaciółek. Również urzędników o pensjach przeciętnych, za to — o nieprzeciętnej smykałce do wycięcia więcej niż się da z pieczeni, zwanej życiem. Różnie tę pieczeń nadgryzamy, jedni zachłannie, drudzy skromnie. Ale ona rośnie! Nabiera smaku! Pobudza zdrowy apetyt!

Co wyczytać można także z kolekcji pocztówek nad biurkami naszych urzędników.

ĆWIEK

PRZEDTERAŹNIEJSZOŚĆ

# W POSZUKIWANIU ZATARTYCH ŚLADÓW

Jednym z istotnych powodów, dla którego licznym zachodnioeuropejskim autorom historykom i publicystom, tak trudno jest zrozumieć, jaki był rzeczywisty kształt hitlerowskiej okupacji na ziemiach polskich, jest znana sprawa zróżnicowania polityki hitlerowskiego reżimu w różnych okupowanych krajach. Kiedy przed kilkoma laty wertowałem stosy dokumentacji do dziejów okupowanego Paryża, trudno mi było powstrzymać się od uśmiechu, kiedy w listach jednego z wybitnych francuskich uczonych z tego czasu odnajdywałem „straszliwe" — w jego przekonaniu — opisy cierpień, na jakie skazywało go racjonowanie benzyny, które zmusiło go do ograniczania używania samochodu. Sam fakt nie byłby pewnie wart zapamiętania, gdyby nie zjawisko ogólniejsze, mianowicie milczące dyskontowanie wspomnianego zróżnicowania polityki hitlerowskich Niemiec dla celów całkiem już współczesnych, mianowicie wymierzonej przeciwko nam i innym krajom socjalistycznym niewybrednej propagandy, jakże często posługującej się rozumowaniem, że jeżeli hitlerowcy w Polsce, w ZSRR i innych krajach zachowywali się tak właśnie, jak czynili, musiały istnieć po temu motywy zawinione przez... samych poszkodowanych. Stąd niezmierna wciąż aktualność poważnych, szeroko udokumentowanych publikacji, dementujących tę historyczną i polityczną zarazem mitologię, rola wydawnictw obcojęzycznych, a także wszelkich innych środków przekazywania prawdziwych treści tym wszystkim, którzy nie znając rzeczywistego stanu rzeczy mogą nawet nieświadomie dawać posłuch poglądom nie tylko nieprawdziwym, ale stanowiącym istotny argument w arsenale współczesnego antykomunizmu.

Nie jest przypadkiem, że dzisiaj, w blisko trzydzieści lat jakie upłynęły od czasu hitlerowskich zbrodni, mamy wciąż spore trudności z dokładnym wskazaniem tych wszystkich, którzy ponoszą za nie bezpośrednią odpowiedzialność. Jest tak również w przypadku obozu jenieckiego w Żaganiu, a ściślej całego zbrodniczego kombinatu, złożonego z kilku filii, podległych centralnemu Stalagowi „VIII S Sagan". Halina Winnicka, autorka ogłoszonej właśnie w ramach „Biblioteki Pamięci Pokoleń" zwięzłej, opartej w znacznej mierze na niepublikowanej dotąd dokumentacji książki „Żagań" (Książka i Wiedza 1973) stwierdza, że „obsada załogi Wehrmachtu i SS w obozie w Żaganiu i jego filiach nie jest dotychczas znana. Śledztwo jeszcze trwa i materiały jego nie mogą być na razie udostępnione.

Sprawa żagańska wypłynęła po raz pierwszy jeszcze podczas procesu norymberskiego, jednakże wówczas tylko w związku z mordem, dokonanym na grupie angielskich lotników. Przez bardzo długi czas pozostawała ona w cieniu innych wielkich zbrodni, związanych z wielkimi obozami zagłady. Podjęte przez Anglików śledztwo, prowadzone przez pułkownika Bowesa, nie przyniosło pełnych rezultatów, chociaż doprowadziło do procesu przeciwko kilku żagańskim gestapowcom, postawionym w stan oskarżenia za zbrodnie popełnione na jeńcach — lotnikach, który odbył się w połowie 1947 r. Dopiero wykrycie masowych mogił pomordowanych jeńców wojennych różnych narodowości w 1958 r. stanowiło punkt wyjścia dla dalszych poszukiwań, które stopniowo, powoli i opornie jęły ujawniać rzeczywisty rozmiar dokonanej zbrodni. Jej autorzy, hitlerowska załoga obozu jenieckiego, podobnie jak to było w innych podobnych wypadkach, postarali się w chwili ewakuacji o zniszczenie całej dokumentacji tak, aby nikt nie mógł dojść, ilu jeńców, jakiej narodowości, oraz kiedy przebywało w obozie żagańskim. Ocalały jednak ułomki materiałów statystycznych „Oberkommando der Werhmacht", wprawdzie nie pełne, jednakże przynoszące garść informacji, które dziś konfrontuje się z innymi zebranymi materiałami, w szczególności z danymi uzyskanymi od bezpośrednich świadków.

Zebrany przez historyka materiał raz jeszcze, z całą jaskrawością potwierdza wspomniane już zróżnicowanie polityki hitleryzmu w stosunku do różych narodowości. W stosunku do jeńców radzieckich, których wyginęło na skutek tego, jak ich traktowano, około 3 i pół miliona, nie myślano nawet przez chwilę o przestrzeganiu konwencji genewskiej; w stosunku do Polaków już w końcu 1939 r. oficjalnie zajęto stanowisko, że wobec tego iż państwo polskie przestało istnieć, wygasły wszystkie uprawnienia polskich jeńców, wynikające z konwencji. W znacznie lepszej sytuacji — również w Żaganiu — znajdowali się jeńcy francuscy, w najlepszej zaś angielscy i amerykańscy, jedyni, w stosunku do których hitlerowcy... starali się przynajmniej częściowo przestrzegać postanowień konwencji, co nie oznacza oczywiście, by ich nie naruszali. Szczególnie bezwzględnie obchodzono się natomiast z byłymi sojusznikami, mianowicie Włochami, po ich wyłamaniu się z hitlerowskiej koalicji na jesieni 1943 r.

„Lasy w okolicach Żagania i Świętoszowa pokrywają zbrodnię państwa hitlerowskiego dokonane na całkowicie bezbronnych jeńcach wojennych. Kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi zginęło w tych obozach. Ludność Żagania uczciła ich pamięć tworząc muzeum martyrologii w tym mieście oraz stawiając pomnik na terenie byłego obozu w Żaganiu. Na płaskiej płycie z brązu znajduje się realistyczna rzeźba, przedstawiająca leżącą postać ludzką".

LEKTOR

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2019. , T-4. Nr indeksu 37006